

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. dr. Witolda Bełzy w Bydgoszczy

**„NA CHWAŁĘ SŁOŃCA”
III OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI
IM. WANDY DOBACZEWSKIEJ
NAGRODZONE PRACE**

BYDGOSZCZ 2023

Jury konkursu w składzie: Małgorzata Grajewska, Marta Kowanko-Urbańczyk, Tadeusz Oszubski, Alina Rzepecka wyłoniło zwycięzców III Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Wandy Dobaczewskiej.

LAUREATAMI TEGOROCZNEJ EDYCJI KONKURSU ZOSTALI:

Kategoria wiekowa „A” dorośli – POEZJA

I miejsce: – Małgorzata Osowiecka, godło: Wyspy Owcze

II miejsce: – Mirosław Kowalski, godło: Trop

III miejsce: – Jacek Maria Hohensee, godło: Starorzecze

Wyróżnienie: – Milena Gojny – Zbierowska, godło: Kurkuma

Wyróżnienie: – Weronika Sępkowska, godło: Commuovere

Kategoria wiekowa „A” dorośli – PROZA

I miejsce: – Anna Siecla, godło: Lavendova

II miejsce: – Barbara Zakrzewska, godło: Aya

III miejsce: – Dorota Bidzińska, godło: Ardo

Wyróżnienie: – Cecylia Cywińska, godło: Abra

Wyróżnienie: Bożena Kaczmarczyk – Gwóźdź – godło: Tęsknota

Kategoria wiekowa „B” młodzież [w wieku 12-18 lat] – POEZJA

I miejsce: – Marika Pytlarz, godło: Owca

II miejsce: – Antonina Mrowiec, godło: Różyczka

III miejsce: – Anna Błażejewska, godło: Irradiacja

Wyróżnienie: – Diana Pyrozhenko, godło: Kalina

Kategoria wiekowa „B” młodzież [w wieku 12-18 lat] – PROZA

I miejsce: – Iwona Kutypa, godło: Wierzba

II miejsce: – Michał Szuba, godło: Ainis

III miejsce: – Jakub Wiśniewski, godło: Gruszka

Wyróżnienie: – Julia Zygadło, godło: Bluszcz

Wyróżnienie: – Ksawery Kasprzyk, godło: Żylistek

Osoby, których prace, poza konkursem, wyróżnione zostały ze względu na nawiązanie do twórczości Wandy Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej.

Krzysztof Przegiętka, godło: Konik Polny (Kat. A – poezja)

Adam Jeździkowski, godło: Dąb (Kat. B – poezja)

Natalia Hutek, godło: Uczeń1 (Kat. B – poezja)

Wojciech Słodkowski, godło: Uczeń4 (Kat. B – poezja)

Michalina Nowakowska, godło: Uczeń6 (Kat. B – poezja)

Kategoria wiekowa „A” – POEZJA
I miejsce: Małgorzata Osowiecka

This town is not enough for both of us

I

Od rana bęben pralki się obraca i wypływa hipotezy
o kotach, pluszach, zielonych nocach, za oceanem. Potem zalewa do kostek
i odpływ.

A my nigdy nie spiliśmy bruderszaftu, między
zawsze przestrzeń, gęste cisze w niej. Dopiero po dziewięciu latach siwiejesz,
ale za to do dna.

W płucach dojrzewa azbest, biurko fermentuje.

Maile do ciebie wysyłają się tylko pod wpływem, więc niby wesoło,
ale jakby strzelały.

II

Pracowałem nad tym w wielu ciszach,
narzekaniach, dyscyplinach, wymuszeniach.
Likwidowanych przystankach kolejowych.
Czasem trzeba było tylko dodawać, dla zasady,
poprawiać poprawione. Nadmiar
o piątej rano - może i orzechy są dobre na mózg, ale ikсы na całą resztę.
Ikсы są na dzień, w którym oddaję
- wielki poniedziałek.

III

This town is not enough for both of us,
więc szykujemy się na walkę, w której oboje możemy przegrać,
zamknięci w jednym mieście od dziewięciu lat. Ale to właśnie tego dnia
wszystkie stacje o nas mówiły: o zmęczonych ludziach po dwóch stronach
stołu - to my - uniformy, których nigdy nie ściągamy.
Zanim zdarzyłeś mi powiedzieć, że wszystko będzie dobrze,
wszystkie zęby wypadły mi z ust, ulica przy młynie została odnowiona,
miętówki wyparowały i skończył się azbest. Wtedy zdałem sobie sprawę,
że żeby być szczęśliwym, trzeba kopać głęboko
w sobie.
Walka zaczyna się w południe, pod skórą
już biegnie kolej do domu.

II miejsce: Mirosław Kowalski

Wszystkie chwile wpadają do rynny

te wszystkie obłoki zbiegłe ze snów zabłąkane
przypinaj do firanek i zasłon
kupuj na straganach mydlane bańki
takie ze świetlikiem lub cukrowym dzwonkiem w środku
kupuj całe girlandy starych dojrzałych strof rymów dźwięków
przystroimy mieszkanie i balkon
sami i po swojemu obok wszystkiego
obok wszystkich

dowiedziałem się dopiero teraz
od przeszło trzech lat
nie żyje chłopiec z ogródka
pewnie jeszcze czekają na dotyk
opuszczone książki i pies
myślą że to tylko na chwilę
a wszystkie chwile kręcą się samopas
po ulicach zakamarkach i w trawie
snują się po dachach
wpadają w pozastawiane rynny
chwile jak mydlane bańki

nieraz jeszcze wyjdziemy z którymś obłokiem na spacer
tak po prostu pogłaskać jakiegoś psa odetchnąć
powiedzieć komuś dzień dobry
i choć nie ma złudzeń mimo wszystko
zajrzemy tam dyskretnie
do jednej czy drugiej rynny

Kto jest kto. Przez szyby i pelargonie

my z kryształu i cedru
jak pręgierz szubienica lub dyby
stoimy dzielnie na straży
w nieskazitelnie białych
kołnierzykach podkoszulkach i majtkach

samopoczucie nasze rumiane i tłuste
dobrze karmione świadomością
że nic nam nie umknie

przez szyby i pelargonie
z balkonów w petuniach i nasturcjach
wiedzimy wyraźnie że ta chuda z naprzeciwka
to ostatnia szmata
latawica zwykła

my na obraz i podobieństwo
wstydić nie musimy się niczego
szaty nasze schludne i czyste
nieraz nad nami przysiada gołąbek

spozregawczy i czujni
wiemy dobrze kto jest kto
żaden moczymorda łachudra szmaciarz
nie ukryje się w tłumie
nie z nami takie zagrywki

wskazujemy palcem piętnujemy
zadowoleni jakby nigdy nic
jakby w ogóle nie było świętego rzezimieszka
który na połamanych goleniach
ledwo z krzyża zdjęty
szedł prosto do raję
z Bogiem pod rękę

* * *

gdyby nie było tak zimno
zazwyczaj to ty rozczesywałabyś długie włosy
które kiedyś by mi urosły

gdyby nie było tak obojętnie
wybierałabyś kokardki podkolanówki
może kiedyś zgodziłabyś się na psa

gdyby nie było tak zimno i obojętnie
to pewnie ty mądrze i dyskretnie
przygotowałabyś mnie do pierwszej miesiączki

sprawiłaś że potrafiłam latać
nie umiejąc nawet jeszcze chodzić
z braku twojego ciepła
wtulam się w tęczę
tak - mogę tam polecieć
kiedy tylko zechcę
wnikam w tęczę
jak w łono

mamo
ty naprawdę jesteś piękniejsza
niż te wszystkie anioły wokół

czy teraz rozpoznałabyś mnie jeszcze
a kolor oczu - czy pamiętasz
widziałaś przecież mój ostatni oddech

szkoda tylko że nigdy
nie zobaczysz żadnej z laurek
które mogłabym ci narysować
naprawdę szkoda
mamusiu
tęczu
kacie

III miejsce: Jacek Maria Hohensee

Kolysanka

Łódź księżycowa okryła się darnią
i śpi na brzegu
a w łodzi jest pierścień złoty
na palcu topielicy
zamkniętej w ciemnej skrzyni

Co noc uchyla się wieko
i roje srebrnych świerszczy
płyną przez ciemną rzekę

Jeśli to kiedyś zobaczysz
znaczy że płyną po ciebie

Słowik pod wieczór

Strzelisty hymn o wspaniałości świata
zwiastuje nadchodzącą ciemność
i strach o gniazdo ukryte w zaroślach

Przez zaciśnięte zęby powiedz wiersz
o tym jak pięknie gaśnie słońce

Napisz wyznanie i przeczytaj tak
Jakbyś był pewny że je będzie słyhać
Po drugiej stronie horyzontu

Wiem że nurt jest daleko

Wiem że nurt jest daleko
ale tu kwitną wodne lilie
i niesie się zapach olch po deszczu
od czasu do czasu pluśnie ryba
i rzęsa przy brzegu płynie nad słoneczną łąką

Starorzecze ukryło się w moich wierszach

Wyróżnienie: Milena Gojny

Przedwojenna dama

Pamiętam ją jak stawała przed lustrem, naciągała palcami skórę wzdłuż krawędzi twarzy, przesuwiała opuszkami koło uszu, na zaczepach szczęki, na linii włosów. Patrzyła

badawczym wzrokiem oceniając możliwość powrotu do przeszłości. Przerażała mnie ta wygarbowana skóra, rozmyte w grymasie usta i oczy bez wyrazu. A potem

kładła się na łóżku wzdychając- *ach gdyby tylko żył Edward*. Za kurtyną zgaszonych oczu uciekała od niezapłaconych rachunków, głodnych dzieci i uczniów

czekających na lekcję pianina. Pamiętam pochowane w szafach wysuszone kwiaty, na biurku kałamarz, pióro z kości stoniowej, bibularz kryształowy i jeszcze jej jedwabne halki

Cicha rzeka

To była głośna historia. Ludzie opowiadali ją sobie pod sklepem na rynku, przekładając ciężką siatkę z jednej ręki do drugiej, wychodząc z kościoła, pomiędzy niedzielną mszą a niedzielnym obiadem,

dzieci odprowadzając do szkoły w pośpiechu do dnia. Kobieta w ciszy siedziała na brzegu rzeki. Wrzucając kamyki patrzyła jak wbrew nurtowi opadają na dno. Kochała słowa, zaplatać je w warkocze rwących treści.

Teraz nie było słów, nigdzie. Dotknęła głowy, zimne włosy nie pamiętały ciepła jego palców, nie było słów. Dotknęła gardła, ość bezradności, zwiotczałe mięśnie krtani, nie było słów. Dotknęła serca, spleśniało, przełknęła ślinę

poczula smak pleśni w ustach. Usta, wtedy całowały aksamitem bliskości, nie obleczone dziś nawet w szept. W beczasie, pomiędzy światami, w żalobie po miłości, która przestała karmić jej dni. Kobieta w ciszy wbrew nurtowi rzeki opada na dno.

Różne odcienie śmierci

Wszyscy bliscy, którzy umarli, już dawno się rozłożyli. Rozkładam bezradnie ręce, nie mogę już sobie pomóc. Ostatnie krople ciepłej wody spadają na moje ramiona.

Kurczowo przywieram do odczucia ciepła tworząc jego matrycę w pamięci. Przez łazienkowe okno widzę jak klony szarpane jesiennym podmuchem niechcianego wiatru ronią tegoroczne liście.

Trawa powoli pokrywa się plamami czerwieni, brązu i ciemnej zieleni, jak pokrywa nagrobna chowająca cierpienie nie do zniesienia dla patrzących. Brzozy kołyszają się jakby nieobecne myślami, dystansują się

od niechybnej straty. Kołnierz nieba w wielu odcieniach szarości zalepia ostatnie źródło światła, zakleszcza nas pomiędzy już nie życiem, a jeszcze jednak nie kompletną śmiercią.

Wyróżnienie: Weronika Stępkowska

poivre et sel*

w bajce grałam zawsze smutną Stracciatellę;
nakładałam sobie (b)raki na twarz
i trzeba mnie było szczypać,
żebym poczuła, że żyję. nie szczypano
się ze mną, kiedy od słońca dostałam
piegów, ich diagnoza brzmiała: odłazi
jej pigment, widocznie zbyt mocno chciała
się wyeksponować. mieszkam zatem
w chłodniach, chociaż im więcej wiem o wy-
stawiennictwie, tym bardziej jestem pewna,
że gdybym się wstawiła
do piekarnika, nie trzeba by zdrowasiek, by oddzielić

* (fr.) *pieprz i sól (także o włosach przeplatających siwiznę z ciemnymi).*

je suis remontée

czas jest niesko-
ordynowany – zamknę go w klatce

piersiowej kondensacji kondensatora
naładowanego po czub
pamięcią

da się zawalić wiele rzeczy
wiele wstawionych rzeczy
i masz w czubie
dobrze – odstawię

tylko moje stopy
procentowe
pod dobrą datą

grobowiec w klepsydrze

stanęła nad przepaścią wysokiego
wiersza chciała ją
zasypać ale nie miała jeszcze
kropek (piegi wschodzą
na słońcu, pyszne pieguski-
nyguski, uprawiające nudy(zm)
(*migam*

się, więc jestem)

– chciała je zerwać
ze słupa ogłuszeniowego razem z u-
mową poświadczającą
rozszczelnienie systemu –
hydra/uliczka
– zanurzenie: po rzeczki)
po kolana pokolenia.

Kategoria wiekowa „A” – PROZA
I miejsce: Anna Siecla

„Żeby cię lepiej zwiąć”

Kiedy Grzegorz zbliżał się już do wioski, do Sokolnik, nagle spostrzegł schorowanego Maciejewskiego bez jednej nogi. Staruszek siedział przy głównej drodze na rozchybotanym leżaku. Przed sobą miał stół z czerwonym blatem.

– Dzień dobry, panie Maciejewski! – Grzegorz ukłonił się z szacunkiem. Wiatr niósł ciemne chmury, najwyraźniej zbierało się na burzę, oraz woń sąsiada – człowieka, który przesiedział życie w jednym miejscu, być może nawet na tym samym, starym leżaku.

– Dobry, dobry. Jak się masz, bratku?

– Jako tako, panie Maciejewski.

– Przyjechałeś już na zawsze?

– Skądże. Wyprosiłem przepustkę – skłamał, bo kierowały nim inne powody.

Maciejewski pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Może druzgaweczkę? – wskazał przed siebie czarną, zapewne brudną od ziemi ręką.

Dopiero wtedy Grzegorz zauważył, że stolik Maciejewskiego zastawiony był wypełnionymi po brzegi kobiałkami truskawek i to one tak czerwieniły się z daleka.

– To wasze? Ładne.

– Nasze, nasze, a czyje! Zobacz, chłopaku, ręce mam jeszcze brudne od tego zbierania – skwapliwie wyciągnął przed siebie zaniedbane dłonie, by można było ocenić ich stan.

– A wie pan co, wezmę koszyczek – Grzegorz zdecydował szybko. Wzmagający się wiatr podnosił kurz z ulic, który osiadał na owocach. Wczesnoletnie liście silnie uczepione do gałązek szumiały złowroźnie.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze, bratku – Maciejewski ucieszył się. Szeroki uśmiech, który pojawił się na jego pomarszczonej, starej twarzy, obnażył poważne braki w uzębieniu.

– Nie – sąsiad odezwał się nagle głosem surowym i nieznoszącym sprzeciwu, gdy Grzegorz wyciągnął rękę po jedną z kobiałek. – Ja wybiorę dla ciebie – rzekł z przesadnym uśmiechem próbując zamaskować niezręczność,

która nagle między nimi się pojawiła.

– No! Na zdrowie, bratku. Już tam pewnie w domu ojciec i narzeczona na ciebie czekają.

– Dziękuję panu! – odrzyknął Grzegorz, ale sąsiad tylko machnął ręką.

– Idź, idź, coś mi się zdaje, że nadciąga burza.

I miał rację. W oddali już wyraźnie dało się słyszeć pierwsze pomruki zbliżającej się nawałnicy. Droga dłużyła się Grzegorzowi jak gdyby szedł pasmem górskim, a przecież były to wielkopolskie niziny – teren płaski niczym stolnica. Być może to przez doskwierający upał i duchotę było mu tak trudno iść. Wokół trwał upalny czerwiec. Najchętniej zzułby ze stóp ciężkie kamasze i cisnąłby je do pierwszego lepszego rowu. Potem to samo zrobiłby z mundurem. Niedorzeczny pomysł. Za kilka dni musiałyby po nie wrócić. Do domu miał jeszcze ze dwieście metrów. Ten odcinek zdecydował się pokonać wąską ścieżynką, a odnalazł ją bez błądzenia, nad którą pochylały się kąsające liście pokrzyw, osty i złote główki mleczy. W jednej ręce trzymał dopiero co kupiony koszyczek z truskawkami, a w drugiej miętosił powód, dla którego przyjechał, tajemniczy list otrzymany kilka dni temu.

„Grzegożu!” – przeczytał w nagłówku nakreślone niewprawną (może dziecięcą, bo usadziła taki ortograficzny błąd) ręką. Gorączkowo przebiegł wzrokiem ścianę tekstu, po czym upuścił kartkę, jakby zniecka poraziła go prądem. Nagle w głowie zaczęło mu się żarzyć i tlić. To obezwładniające, palące poczucie zdrady, którego, jak mu się zdawało, nie sposób ugasić. Jak tylko wróci... Zaraz jak tylko wróci to zrobi z nią... Ale co? Myśl uleciała mu i nie wiadomo, co się z nią stało. Niepokój został już zasiany, już się w nim rozplenił. Prawdę brał za błąd. Musiała nastąpić jakaś koszmarna, koszmarna pomyłka, myślał całą drogę do wioski.

Zaczynało mu się kręcić w głowie od tej nieznośnej duchoty. Zdawało się, że nawet powietrze – rozdygotane, gdy spojrzeć na linię horyzontu – zaczyna zmieniać barwę na czerwoną. Trudno było czerpać oddechy w tym ukropie, przypominało to połykanie ognia, płomieni natychmiast liżących gardło, a chwilę później moszczących się wśród trzewi. Tymczasem Anna niestrudzenie pracowała w przydomowym ogrodzie na poletku truskawek. Te już dojrzały na tyle, by można planować czas ich zbioru.

Pierwsza błyskawica przecięła niebo, a potem silnie zagrzmiało, gdy zastał ją na tyłach domu, gdzie pośród wiatru, ubrana tylko w lekką białą suknię zawzięcie plewiła wokół krzewinek. Serce mu jakby nabrzmiało od tego widoku. Już miał krzyknąć coś, odezwać się, lecz zrezygnował w pół drogi. Jeszcze zdążył zatrzymać ten krzyk językiem i połknąć, na szczęście.

Oto najpierw z kurnika wyszedł jego szeroki uśmiech, połyskująca od kącika ust do policzka blizna w kolorze rozbielonego różu, potem siwa głowa, a następnie reszta ciała. Choć obserwował tę scenę z dość daleka, wzrok go nie zawodził. Ojciec, w przerwie od zbierania jajek, wpierał radosne oczy w stateczną postać Anny. O tak, można by ją postawić naprzeciw ludzi i kazać jej śpiewać, to jej głos niósłby się po świecie.

– Najdroższy synu! – ojciec, być może trzecim okiem spostrzegł lub szóstym zmysłem wyczuł jego obecność. Przejął się usłyszawszy to określenie upuszczone przez ojca, ponieważ rozbabrało wszystkie rany, które uporczywie próbował zaleczyć. – Nareszcie jesteś!

– Tak sobie pomyślałem... Że może przyjadę – mamrotał Grzegorz pod nosem, ale ojciec nie pozwalał mu na sformułowanie sensownej wypowiedzi. Złapał go w pasie i zaczął bezwstydnie, jakby nie pamiętał przeszłości, wykrzykiwać:

– Trzeba rozmrozić najlepsze mięso, wyjąć najlepsze jedzenie z spiżarni. Będziemy świętować, bawić się i cieszyć, bo oto sołtysowy przyjechał do rodzinnego domu na przepustkę.

– Daj spokój, tato... – spróbował jeszcze wpłynąć na niego chłopak, lecz z mizernym skutkiem. Ojciec już brał Annę pod rękę i – zdawało mu się – jak gospodyni tłumaczył, co i jak przygotować na poczęstunek. Grzegorz obserwował tych dwoje, a podejrzliwość nakazywała mu mrużyć oczy.

– Zaprosimy wszystkich – słyszał jeszcze jak mówi do niej – to jest dobra okazja, żeby zaprosić też Maciejewskiego!

Odnosił wrażenie, że miała mu za złe, że jego przyjazd zmusił ją do oderwania nosa od ziemi. Pewnie pracowałyby dalej, gdyby nie zaczął śiąpic deszcz i gdyby nie usilne nalegania ojca, a przede wszystkim – gdyby nie jego przyjazd.

– Od kogo to masz? – spytała gdy już szykowali się powoli do snu wskazując chudym palcem na kobiałkę, którą trzymał kurczowo. Nagle dotarło do niego, że popełnił duży błąd. Przecież ojciec nigdy nie lubił kulawego sąsiada i vice versa. Wiedział, że ona domyśla się odpowiedzi, lecz potrzebuje potwierdzenia. Postanowił nie kłamać.

– Maciejewski sprzedaje przy wjeździe do wioski.

Ogarnęła ją wściekłość i w trymiga pobrzydziła.

– A po co to przyniosłeś? Mało tego w ogrodzie? – wzięła się pod boki. Piersi przebijały przez lekki materiał jej sukni. Nie mógł odeprzeć wrażenia, że coś w nich było, że coś nosiła w tych piersiach. – Zresztą, zobacz tylko – przesypała zawartość kobiałki do blaszanej miski. Niemal wszystkie truskawki – nadpsute i zgnite – nadawały się do wyrzucenia. Postawiła ten stracony plon

przed nim, a potem niemal biegiem wyszła z kuchni. Dogonił ją, gdy łapała za klamkę drzwi prowadzących do jej pokoju.

– Nie idź za mną – usłyszał gorączkowy szept na kształt błagania.

Trzymała drzwi, ale był zdecydowanie silniejszy.

– Nie rusz się stąd – powiedział. – Za długo cię nie widziałem.

Płakała, gdy na jego prośbę i na jego oczach podnosiła tę białą, luźną sukienkę, w której pracowała w ogródku. Szloch wstrząsał jej brzuchem, teraz już zbyt wypukłym, aby przejść obok powstrzymawszy się od komentarza. Miał przed sobą ten brzuch i – może mu się to tylko wydawało, bo przecież różne rzeczy przychodzą na myśl będąc w szoku – rączkę małego stworzenia rozczapierzoną tak, że całą powierzchnią dotykała matczynego wnętrza.

– Twój ojciec mnie zwiódł i poszłam – oznajmiła po prostu jak się oznajmia, że świeci słońce albo że nadchodzi zmrok. Siedziała teraz na łóżku bezradna i osamotniona, a on odkrył, że nagle zamieszkała w nim wściekłość pomieszana ze zdumieniem. W tamtej chwili zapragnął powiedzieć na głos, że z całego serca życzy jej, aby urodziła skrzep, lecz z jakiegoś powodu tego nie uczynił. Zostawił ją taką samotną, bo czuł, że dłużej nie może znieść jej widoku – kobiety spodziewającej się dziecka.

– Gdzie Anna? – spytał ojciec, kiedy Grzegorz sam zszedł do dużego pokoju teraz zatłoczonego. Sąsiedzi siedzieli ściśnięci jeden obok drugiego, a w kącie tuż obok telewizora przycupnął Maciejewski, którego twarz wyglądała jak odlana z wosku.

– Źle się czuje. Powiedziała, że chce się położyć – powiedział uciekając przed ojcowskim spojrzeniem i usiadł pomiędzy Maciejewskim a jakimś mężczyzną.

Potem pili jeden kieliszek za drugim, jakby nigdy wcześniej nie widzieli wódki. Ich krew zamieniała się w alkohol, tępiła zmysły, spowalniała ciała, a powietrze aż przesycone było niepokojącą atmosferą, a ta wchodziła pod skórę i sprawiała, że cierpło ciało.

– To teraz chyba nadeszła okazja – zamroczony mężczyzna podniósł się od stołu i całym ciężarem padł na drugiego, siedzącego na najważniejszym miejscu, czyli w jego szczycie. Ten, nieprzygotowany na atak, jęknął przygożdżony do podłogi ciężkim ciałem sąsiada.

– Twój ojciec nie pomógł mojemu ojcu, ale ty możesz pomóc mi – wśród ciemniącego pomieszczenia, że prawie nie było można już rozpoznać sylwetek ani kształtów, rozległ się rozpaczliwy głos-błaganie.

Nie było czasu na zastanawianie się. „Zróbmy mu coś, zniszczmy, odpląćmy mu się” wśród ciemności podpowiadały dziwne głosy wwiercające się głęboko w czaszkę wyzierające spod szafek i innych sprzętów znajdujących się w pokoju.

– Dobrej nocy – zacharczał ostatkiem sił ten sam mężczyzna, który

sprowokował bójkę. Poza oczami wyglądającymi jak dwa węgle zdawało się, że już nie miał na twarzy, że zdjął już maskę, z którą żył przez ostatnie kilkanaście lat planując jak rozegra ostatni pojedynek. Nie do wiary – przemknęło mu jeszcze przez myśl – że udało mu się to zrobić z pomocą zdawałoby się kogoś, kto stał po przeciwnej stronie barykady. Zemsta smakowała truskawkami.

Budziła się teraz, zwłaszcza teraz w trakcie ciąży, wyjątkowo wcześniej. Wyszła więc z sypialni na ciężkich, spuchniętych nogach. Długi był to spacer, wlokła się krok za krokiem niezgodna przyspieszyć, z energią staruszki, którą i tak – jak jej się zdawało – wykrzesywała z najdalszych zakamarków swego ciała. Nogi miała zmęczone, podobnie umysł, ucieczką.

– Grzegorz? – wołała o świcie na cały dom. Nikt nie odpowiadał. Obudziła się w pustym domu, ale to jej nie zmartwiło. Często była sama, przywykła więc do tego.

– Trzeba pójść naczepać wody ze studni – szepnęła do siebie. Nabieranie wody ze studni było jej ulubionym, uspokajającym zajęciem. „Twoja tajemnica jest z nami bezpieczna” – usypiająco nuciły jej głębiny. Wpatrywała się w nie tak uporczywie, jakby były dla niej skarbem, a gdy jej wzrok przywykł do wgapienia się w czerni, w odmętach dostrzegła złote gwiazdy, tłące się skry, połyskujące drobiny. Choć raz, mogłaby przysiąc, przynajmniej raz w życiu w studni ukazało się jej Zło.

„Nie obawiaj się, nie zrobiłaś niczego złego, twój sekret zostanie tu na zawsze” – lulały ją niby do snu, aż uspokajała się i szła pracować dalej. Była wiejską dziewczyną – zdrową, pracowitą, hardą i nieustępliwą, i tak muzykalną, że tylko czekała aż po zakończonej pracy będzie mogła śpiewać, by zagłuszyć natłok myśli. „Ktoś zabrał cebryk” – zauważyła i uznała, że zajrzy do studni. Tam zwinięte jak ślimak, jak embrion, znajdowało się ludzkie ciało. W oddali przeraźliwie szczekały psy.

Grzebięń

*

Do złudzenia przypominałem lotkę łabędzia, tyle że piękniejszą. Stosina i dutka zostały wydłużone, stając się wygodną rączką. Od góry ozdobiono mnie wymyślnym, koronkowym niemal wzorkiem z subtelnych motywów roślinnych niczym w arabeskach. Zęby były tak delikatne i cieniutkie jak prawdziwe promienie ptasiego pióra, tyle że rozdzielone, by otwarcie zapraszać. I niezwykle elastyczne. Bo też byłem przeznaczony do wyjątkowo delikatnych, jedwabistych włosów. Wykonany z miękkiego kauczuku, doskonale spełniałem swoją powinność. Nawet czyniłem to z niestabnącym zachwytem i lubością, gdyż stałem się pośrednikiem prawdziwej miłości.

**

Najpierw używała mnie matka kilkuletniej dziewczynki, by nadawać właściwy kierunek niezwykle powłóczystym włoskom. Jakież to bywało przyjemne – zanurzać się w tę gęstwinę cieniutkich nitczek i przesuwać wśród nich w dół z ogromną troską trzymającej dłoni, by „nic nie ciągnęło”. Trzeba to zatem robić umiejętnie, zaczynając od samych końców, i powtarzać czynność wielokrotnie, jakby się wstępowało coraz wyżej po tej kaskadzie bursztynowych pasm. Aż po sam szczyt główki, gdy poniżej zapanował już całkowity ład. Wtedy jeszcze miewałem niezwykłą przyjemność dotknąć końcem rączki skóry dziewczynki od czoła aż po tylną część szyi, by wyznaczyć przedziałek. Nasycąłem się ciepłem, chłonałem je niczym coś bezcennego. Później mogłem tylko patrzeć zachłannie z toaletki, jak wprawne dłonie zaplatają dwa grube warkocze, dodając na końcu do miodowych splotów zielone wstążki. Z nich powstawały precudne dubeltowe kokardy jak połyskliwe motyle. Promienie słońca odnajdywały w bursztynowych splotach i oliwkowych skrzydłach niezliczone refleksy... Oczywiście nie bywało tam brokatu tylko naturalny połysk.

Wieczorem, czynności ulegały odwróceniu: rozwiązywanie, rozplatanie, ale moja pomoc bywała niezmienna. Od końca kaskady, wzywać, aż na szczyt tego miedzianego włosospadu. Pod koniec dnia przyjemność obcowania z jedwabistą przędzą była zwielokrotniona, bo warkocze

pozostawiały przepiękną falistość złotego runa. Jak ja zazdrościłem szczotce z prawdziwego włosia, która dopełniała pieszczoty po mnie...

Na noc niepotrzebny był przedziałek, bo powstawał jeden, misternie, choć luźno zaplatany, przypominający wyborną chałę, warkocz. Bez kokardy, za to z ozdobną gumką, najczęściej różową.

Należałem chyba do przedmiotów darzonych szczególnym sentymentem, bo zostałem spakowany w torbę z przyborami toaletowymi i trafiłem na bogato zdobioną toaletkę w nowym domu tej pięknej panny, teraz już szczęśliwej mężatki. Dlaczego z całego zestawu grzebieni – kościanych, szylkretowych, inkrustowanych masą perłową, wybierała właśnie mnie – nie wiem, ale bardzo mi to schlebiało. No i mogłem teraz uczestniczyć w zupełnie innym rodzaju zażyłości, w jeszcze ciekawszych rytuałach. To nie pokojówka czesała moją panią, tylko zawsze jej ukochany mąż. Rankiem przedłużali nocne pieszczoty, a wieczorem – odgrywali preludium tego, co miało ich wzajemnie uszczęśliwiać. Zawsze wyzwalali przedziwne, obce mi z naturalnych względów wibracje. Chociaż jestem antystatyczny, przejmowałem subtelne drżenia, przepływające z ciała Khany do dłoni Szaloma i w drugą stronę. Jakież to było podniecające stawać się przewodnikiem tego, co Mickiewicz nazywał *promionkami*. Zrządzeniem losu – przenikały i mnie. Miałem wrażenie, że przejmuję delikatne falowanie mięśni obydwójga, jakieś spotkania tych fal w połowie mnie, gdy niewidzialne kręgi, jak te na wodzie, spotykały się, by się wzajemnie odnaleźć, połączyć i zwielokrotnić. Nie ukrywam, że mimo mojej antystatyczności, czasami następowała seria maleńkich wyładowań, bo jakżeż włosy miałyby się wtedy nie elektryzować! Moje obawy, że *promionki* rozniecą prawdziwy ogień, nie były nieuzasadnione, ale nad tym czuwał czuły kochanek. Zbierał te domniemane zarzewia pocałunkami, a później, zwłaszcza wieczorem, prznosił zwielokrotnione ciepło na skórę ukochanej. Nie było miejsca, którego by nie dotykał gorącymi wargami. Khana nie pozostawała dłużna. Ich nasycanie się sobą trwało długo, nigdy nie mieli siebie dosyć. A ja patrzyłem z zachwytem i nieskrywanym niedowierzaniem na piękną ludzką miłość, bo cóż najstarsze nawet kauczukowce mogą o tym wiedzieć. Patrzyłem, podziwiałem, wchłaniałem każdym porem mojej gumowej skóry najsubtelniejsze i najpiquantniejsze zapachy – róży damasceńskiej, jaśminu, frezji i kwiatu pomarańczy z intensywną nutą drzewa sandałowego, także piżma. Żałowałem, że dopiero rano zostaną dopuszczony do wspólnej pieszczoty, a wtedy już wszelkie wonie i smaki wywietrzeją...

I oto historia zatoczyła kolejne ogniwo spirali – pojawiły się nowe precudne włosy do czesania. Sarunia odziedziczyła urodę po matce. Znowu dane mi było pośredniczyć w przepływie niebywałej czułości. Nie tylko Khana

czesła córeczkę, ale w dni świąteczne robił to także Szalom – z równie wielką troskliwością. Byłem szczęśliwy, że dane mi uczestniczyć w tym niekończącym się łańcuszku życia i miłości.

Gdybym mógł sobie wyobrazić, co nastąpi! Gdybym przewidział, kiedy dotknęła mnie lodowata skóra rękawiczki!!! Może dokonałbym siłą woli aktu samozapłonu jeszcze tam, na stercie... Nie musiałbym dalej patrzeć! Nie musiałbym pomóc ręce, która brzydziła się grzebieniu. Do końca nie pojmowałem, co mi przeznaczone. Mnie – grzebieniowi. Wszystkie włosy przecież dokładnie ogolono i spakowano w wielkie wory.

Zwyrodnialec z zapalniczką bezrefleksyjnie patrzył, jak zajmuję się coraz intensywniej. Na sprzączce pasa tej bestii wyłoczono napis: *Gott mit uns!!!*

Więźniowie polewali ciała w dole naftą. Kauczuk płonie niczym lucywo. Inaczej niż chanukowe świece. Czuję straszliwy ból. Poznawałem potworność stosów...

Ofiara całopalna dokona się także za moją sprawą.

Tak, jestem, byłem grzebie-**NIE**-m. **NIE** jestem **NIE**mym świadkiem!!!

7.02.2023

Zainspirowane zeznaniem więźnia Oświęcimia, świadka, który musiał uczestniczyć w „oczyszczaniu” pierwszych komór gazowych, zanim powstały krematoria. Źródło: *Księga pamięci Żydów żuromińskich*, Towarzystwo Przyjaciół Bieżunia, Kancelaria Rady Prawnego Marka Kowalczyka, Biezuń-Zuromin 2009, przedmowa Szewach Weiss (*Księga* powstała na wzór *Księgi Żydów ostrołęckich* (2001-2), co jest zaznaczone w przedmowie i posłowiu).

Skrawek

Skrzynka wielkości pudełka na naparstki. Tak sobie wyobrażam to, czego ciągle jeszcze nie potrafię sobie wyobrazić. Dziesięć centymetrów na pięć. Jak drewniane, bogato zdobione pudełeczko babci Władzi, którym nie wolno było mi się bawić. Stało na najwyższej półce, za szklaną szybą. Im bardziej czczone, to tym bardziej bezużyteczne, bo coraz mocniej poskręcane reumatyzmem palce nie utrzymywały naparstków, a nasilający się parkinson nie pozwalał nawlec igły. Relikwia stamtąd. Gdzie jabłonki rodzą najśodsze owoce, krowy dają najtłustsze mleko, a mężowie są – nie znikają tak po prostu w mgnieniu oka (krótkim jak wybuch miny), zostawiając cię w tym obcym miejscu, z całym głodnym majdanem i ze świeżo zakończoną, jeszcze nie zastrupioną wojną.

Skrzynka na naparstki miała więcej szczęścia niż krowa, zarekwirowana przy pierwszym patrolu i więcej niż pierzyna sprzedana za worek kartofli w głodne, przednówkowe dni pierwszego wolnego, czterdziestego piątego roku. To ona dojechała z nimi do końca, ukryta za pazuchą babci Władzi. Gdy dotarli na miejsce, położyła ją na stole, między ciepłym jeszcze garnkiem a serwetką z parą w tyrolskich strojach ludowych. Wpasowała się jak ulał. Jakby wieszcząc im długie i szczęśliwe życie. Nowy początek.

Ale potem przyszła jesień. Chłodny poranek, kiedy znów posprzeczał się przy śniadaniu, bo brakowało węgla. On wyszedł, mruczając na odchodne, że coś wymyśli, a ona pomyślała, że akurat, wróci z pustymi rękami. Pomyliła się. Już nigdy nie wrócił. Tego dnia najął się do pracy przy odgruzowaniu starej fabryki. Kopiając, trafił na niewypał. Miał cholernego pecha. Facet, z którym kopali w jednym dole, odszedł trochę dalej na papierosa – stracił tylko dwa palce.

Babcia Władzia została więc bez węgla i bez męża. Daleko od swoich, z trójką drobiazgu i ze skrzynką na naparstki. Zawsze mi mówiła, że gdyby nie ta skrzynka, to nigdy nie byłoby mnie na świecie. Bo czym wykarmiłaby dzieciaki – w tym mojego przyszłego ojca – gdyby nie szyla po ludziach? Wtedy wszystkiego brakowało. Z wyświechtanych płaszczy szyla kurteczki dla dzieci i sukienki. Z pozostałych skrawków robiła czapeczki i rękawiczki z jednym palcem. Była sprawną krawcową. I bardzo oszczędną.

Przeżyli. Dzieci dorosły, wykształciły się i założyły rodziny. Babcia Władzia doczekała się sporej gromadki wnuków i można powiedzieć, że była spełniona, całkiem zadowolona z życia. Tylko czasami w jesienne wieczory popadała w kiepski nastrój. Jej oczy zachodziły mgłą. Ścisnęła w rękach skrzynkę na naparstki i z kamienną twarzą cicho przeklinała wojnę po rosyjsku. Słyszałam to nie raz.

Więc nie wiem, dlaczego pozwoliłam ci tam jechać. Mówiłeś, że to nie to samo. Że będziecie siedzieć w bazie, gapić się na piasek za oknem, pierdzieć w stołek i za to będą wam płacić te bająnskie sumy. Że w całej historii waszego posterunku najcięższą raną było zacięcie przy goleniu. Że to rutynowa służba. Nie powinnam ci była wierzyć.

Teraz wracasz. W trumnie wielkości pudełka na naparstki. Mina pułapka w waszym samochodzie rozwaliała dokumentnie wszystko. Z twojego silnego, rosnącego ciała odnaleźli tylko skrawek. Mniejszy niż te, z których pogrążona w żałobie młoda wdowa Władzia – powstrzymując łzy i zagryzając wargi – wykrawała dziecięce czapki i rękawiczki.

Miraż

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy zauważyła to po raz pierwszy. Albo wydawało jej się, że zauważyła. Poczucie to było tak ulotne, że prawie nie pozostał po nim żaden ślad. Ale dziś wróciło i kołatało się w jej głowie, kiedy stała przed lustrem, próbując dostrzec w jego przymglonej głębi to, co ją tak zaniepokoiło. Lawendowa sukienka, którą tak lubiła, leżała idealnie, ale kwiatowy odcień przygasł nieco, jak światło kończące się dnia.

Wszystko jest takie nietrawne – pomyślała ze złością. – *To pewnie od słońca.* – Miedziany połysk warkocza, który właśnie zaplatała, też wydał jej się lekko wypłowiały.

– Kochanie, co myślisz o tym, żebym przefarbowała włosy? – rzuciła w stronę salonu, gdzie on jak zwykle po powrocie z pracy, zapadał się w miękkość kanapy z laptopem i drinkiem.

– Tak, tak, oczywiście – odpowiedział po dłuższej chwili, jakby reflektując się, że pytanie skierowane było do niego.

– Naprawdę? – zdziwiła się – A jaki kolor ci się podoba?

– Tak, tak. – Usłyszała i pomyślała sobie, że to trochę wygląda jak rozmowa z echem.

Kolejne dni mijały jak zwykle; jednakowe jak krople wody tworzące rzekę, a jednak codziennie inaczej przeglądały się w nich wydarzenia i twarze. Praca, zakupy, obiad, sprzątanie, sen. Praca, jakieś spotkanie, zakupy, obiad, sprzątanie, sen. Praca, zakupy, ulewny deszcz, obiad, sprzątanie, sen. Praca, zakupy, obiad, sprzątanie, goście, sen. Praca, zakupy.

– Kochanie, pójdziemy jutro do kina?

– Tak, tak, oczywiście.

– Kochanie, mieliśmy iść do kina

– Tak, tak.

Praca, zakupy, obiad, sen.

– Musimy kupić nowe lustro – oświadczyła któregoś dnia, kiedy nie mogła zapiąć koleczka, ponieważ odbicie ucha było tak niewyraźne, że nie trafiła do dziurki i boleśnie się ukłuła.

– Oczywiście.

Praca, zakupy, sprzątanie.

– Zawiesiłam nowe zasłony, podobają ci się?

– Tak, tak.

Tym razem lustro postanowiło ukryć usta, które chciała uszmkować przed wyjściem.

Praca, zakupy, obiad.

– Smakowało ci? Jeszcze nigdy nie udało mi się kupić tak dorodnych krewetek!

– Oczywiście.

Oczy patrzące z lustra błyszcząły jeszcze, ale po zieleni tęczówek dawno już nie było śladu. Potarła delikatnie gładką, lustrzaną powierzchnię. Była zimna, a prawie przezroczyste palce nie zostawiły na niej śladów.

Praca, zakupy, obiad, sprząatanie, deszcz.

– Myślę o tym, żeby zmienić pracę.

– Tak.

Nie tylko sukienka straciła kolor. Kolejno wszystkie ubrania stapały się z szarą taflą i nie mogła już dostrzec na nich żadnych wzorów ani kształtów. Na próżno wysilała wzrok i podchodziła bardzo blisko. Lustro uparcie chroniło swoje odbicia.

Praca, zakupy, obiad, sprząatanie, cichy, wieczorny płacz .

– Czy moglibyśmy porozmawiać? Popatrz, kupiłam w końcu tę książkę, o której ci mówiłam.

– Oczywiście.

Z przerażeniem zauważyła, że w lustrze odbija się tylko część jej nóg i prawie wcale nie widać już głowy. Nawet grymas gniewu, który wykrzywił jej twarz, kiedy usiłowała zdjąć lustro ze ściany, zapadł się gdzieś w nicłość. Z wściekłością stwierdziła, że mimo jej wysiłku, lustro ani drgnęło. Wyciągnęła przed siebie ręce i wtedy się okazało, że nie widać już dłoni.

Praca, zakupy, obiad, zima.

Och, gdyby dało się zatrzymać świat!

– Idą święta.

– Tak, tak.

– Czy ty mnie jeszcze kochasz?

– Oczywiście.

– A gdyby mnie nie było wcale?

– Tak.

Z lustra odpowiadał już tylko deliktny cień. Z każdym dniem kontur jej ciała rozmywał się coraz bardziej i bardziej.

– Wiosną zaczniemy wszystko od nowa? – szeptała, bo jej głos również ucichł niepostrzeżenie.

– Oczywiście, tak, tak.

Któregoś dnia zauważyła, że już nie chodzi, lecz unosi się nad podłogą. Przez jakiś czas wydawało jej się to zabawne, kiedy przepływała miękko między jego nosem, a ekranem komputera, z cichutkim wezwaniem:

– Kolacja!!!

– Tak, tak.

Była już tylko obłoczkiem. Wirującym kłębkim pary podającym obiad, odkurzającym dywan, układającym świeże kwiaty w wazonie, przynoszącym zakupy, bezwiednie poruszającym trybiki domowej maszyny.

– Tu jestem! Tutaj!!! – Bezwolnie unosiła się nad stołem i nie mogła powstrzymać małych kropelek łez, które wpadały do jego zupy.

– Oczywiście, oczywiście.

W dniu, kiedy zniknęła, nic się takiego nie stało. Prace, zakupy, obiady, sprzątania i sny odbywały się i powtarzały w swoim codziennym rytmie. Niespodziewane spotkania na mieście, ulewne deszcze, zimy i święta przydarzały się jeszcze do końca świata. Tylko stare, pociemniałe lustro pytało codziennie:

– Czy mnie jeszcze pamiętasz?

– Tak, tak, oczywiście.

Zegarmistrz

Bim-bam, bim-bam. Miarowe uderzenia starego zegara rozchodzą się po całym domu. Ich delikatne drgania przeszywają moje ciało, jakby chciały połączyć się ze mną, jakby chciały wypełnić mnie od koniuszków palców aż po czubek głowy.

Bim-bam, bim-bam i tak dwanaście razy. Nagle uderzenia cichną, pozostawiając w uszach jedynie głucho echo – wspomnienie minionego czasu. Ich miejsce zajmuje rytmiczne tik-tak, tik-tak, do którego moje serce powoli dostraja się.

Tykanie zagłusza świat dookoła. A ja zaszywam się w przestrzeni czterech ścian pracowni zegarmistrzowskiej mojego dziadka wsłuchany w muzykę wszechobecnych tykań i próbuję przywołać w pamięci wspomnienia z czasów dzieciństwa. Przychodzą opornie, ale nie zamierzam ich ponaglać. „Mamy czas, mamy czas...” – powtarzam cicho.

Mozolnie zanurzam się w świat, którego już nie ma.

Znów mam dziesięć lat, uwielbiam Wojownicze Żółwie Ninja, jeżdżę na BMX-ie i wierzę, że marzenia się spełniają, wystarczy tylko bardzo tego pragnąć.

Dziadek zatopiony jest w pracy. Przed nim na dużym stole leży rozbebeszony zegarek, chyba męski. Dziadek niczym chirurg próbuje uratować mu życie. Cały mechanizm zdaje się być uspiiony. Trybiki i koła są nieruchome. Dziadek delikatnie wyjmuje jakieś części, uważnie im się przygląda, czyści je i znowu ogląda... Ta swoista operacja wymaga od niego skupienia. Widzę, jak mięśnie na jego czole prężą się, po skroniach spływa kropla potu, a siwe włosy sterczą niedbale, jakby żyły własnym życiem.

Promienie słońca nieśmiało wpadają do pokoju, drobinki kurzu wirują w pełnym gracji tańcu i powoli znikają. Dziadek wciąż mruczy cicho pod nosem. W tej chwili przypomina czarodzieja z bajki, który szepcze zaklęcia.

- Dziadku, a co to jest czas? – ni stąd ni zowąd pytam, nie odrywając oczu od sprawnych palców dziadka, zachwycony precyzją jego ruchów.

Moje pytanie wyrywa go z innej czasoprzestrzeni. Potrzebuje chwili, aby pojąć sens słów, które właśnie doszły do jego uszu. Teraz dziadek zastanawia się, co mi odpowiedzieć, a ja cierpliwie czekam. Wydaje się, że czas na moment wstrzymał oddech.

- Widzisz Krzysiu, czas to wielki dar. To coś najcenniejszego, co

otrzymaliśmy. Ten, kto dał nam czas, był bardzo sprawiedliwy. Każdemu podarował tyle, ile mu potrzeba. To tylko nam się wydaje, że mamy go za mało. Za czas powinniśmy być wdzięczni i pamiętać – nie można go marnować.

I jakby nigdy nic zakłada na oko lupę zegarmistrzowską, bierze do ręki zegarek, i wraca do swojej pracy.

Przywołuję to wspomnienie albo raczej ono mnie odnajduje i czuję się niewyobrażalnie samotny, bo dziadka już nie ma. Jego czas minął. Już nigdy nie powie do mnie: „Krzysiu, nie martw się, wszystko będzie dobrze”. Nie przytuli szorstko, koślawo, po dziadkowemu.

Leżę w starym drewnianym łóżku. Pościel pachnie krochmalem i kurzem. Haftowane kolorowe kwiatki uwierają mnie w głowę. Gapię się na stary zegar wiszący na przeciwległej ścianie, oświetlony blaskiem pełni księżyca. Dziadek mawiał, że jest on stary jak świat i odmierzał czas ziemskiej wędrówki wielu członków naszej rodziny. Był w naszej rodzinie od dawna i nikt już nie pamięta, skąd właściwie się wziął. Ciekawe, jaka jest jego historia. Żałuję, że nigdy jej nie poznam.

Powieki stają się coraz cięższe. Zamykam oczy...

Znów mam siedem lat. Przyjechałem z ogromną walizą wypchaną planami i marzeniami aż po brzegi, żeby przez najbliższe dwa miesiące poczuć, czym jest dziadkowa miłość i troska. Żeby zanurzyć się aż po same uszy w dziadkowym świecie. Wakacje zawsze miały smak racuchów z jabłkami, kromek ze smalcem i kakao, przepelnione były tykaniem wszechobecnych zegarów i zapachem dziadka.

Leżę i patrzę na ogromny zegar z wahadłem wiszący na ścianie. Patrzę i ogarnia mnie przerażenie. W mojej siedmioletniej głowie cienie o bliżej nieokreślonych kształtach czają się w rogach pokoju. Drgają, wirują, zbliżają się i oddalają. Wydają niezrozumiałe dźwięki, jakby złowrogie szepty. Otwierają straszliwe paszcze. Boję się, że za chwilę mnie połkną!

Nagle zegar ożywa. Potwornieje. Zaczyna powiększać się, ukazuje czarną bezdenną jamę, a z niej wylatuje ptaszysko, które zaraz mnie zaatakuje. Zjawia staje się coraz większa, rozwiera ostry dziób, macha skrzydłami, wydając przy tym nieprzyjemne, złowrogie dźwięki. Jakaś niewidzialna siła trzyma ją za ogon, więc nie może mnie dosięgnąć, ale jak tylko puści, ptaszysko wpadnie z impetem prosto na mnie!

Chowam się pod kołdrą, ale wciąż czuję drgania powietrza wibrującego w rytm wybijanego miarowo bim-bam, bim-bam. Wyraźnie słyszę trzepoczącego skrzydłami ptaka gotującego się do ataku. Strach paraliżuje mnie. Nie jestem w stanie nawet drgnąć. Czuję krople potu

spływające po plecach i skroniach. Tak bardzo chciałbym, żeby przyleciał tu Batman i pokonał te wszystkie strachy czyhające na mnie w mroku. Przecież dla niego to błahostka. Walczył już z gorszymi przeciwnikami. Batman jednak nie przybywa, a mój strach pęcznieje, rośnie, staje się większy ode mnie. Jestem sam w ciemnym pokoju z potworami, które zaraz mnie dopadną i rozszarpią na kawałki. Cicho łkam, bo nie wiem, co mógłbym innego zrobić.

I wtedy do pokoju wchodzi dziadek. Zapala lampkę stojącą przy łóżku i zrywa ze mnie kołdrę. Przez moment stoi i chyba nie bardzo wie, co robić, ale to trwa tylko chwilę. Siada na łóżku i tuli mnie mocno. W jednej chwili wszystkie przerażające widma znikają, ptaszysko zmienia się w małą kukułkę zegarową, a ja już się nie boję. „Co tam Batman, jak ma się takiego dziadka?” – myślę i wtulam głowę jeszcze mocniej w jego ramiona. Jestem bezpieczny. Nic mi już nie grozi.

Dziadek w mig pojmuję, co się stało, bo mówi:

- Jutro ukręcimy mu łeb. Słyszysz? Zrobimy to z samego rana – wskazuje na ptaszysko ukryte w zegarze.

Całą noc śpimy razem w tym niewygodnym łóżku, ale w ogóle nam to nie przeszkadza. Przed zaśnięciem dziadek czyta mi jeszcze *Bajkę o kukulce, zegarze i zegarmistrzu* Wandy Chotomskiej, a ja wsłuchuję się w jego przyjemny melodyjny głos. Potem zasypiam z głową na jego piersi, kołysząc się w rytm dziadkowych wdechów i wydechów.

Rano dziadek budzi mnie bardzo wcześnie. Nie jemy nawet śniadania. Dziadek mocuje się długo, aż w końcu przenosi zegar do swojej pracowni. Kładzie go delikatnie na stole i jakby nigdy nic otwiera jego paszczę, i zagląda do środka. Po chwili wydobywa na światło dzienne straszne ptaszysko.

- Mamy cię, ty łobuzie jeden! I co? – zwraca się do kukułki. – Ładnie to tak straszyc mojego małego chłopca?

Niespodziewanie dziadek łapie kukułkę i zaczyna ją dusić, i wykonywać takie ruchy, jakby naprawdę chciał jej ukręcić głowę. Mocuje się z nią, aż staje się cały czerwony, a żyły na jego skroniach zaczynają wykonywać chaotyczny taniec.

- I co, wystarczy? Czy mam go jeszcze dusić? – pyta.

- Wystarczy – odpowiadam i uśmiecham się niepewnie.

- Teraz ten łobuz już nie odważy się nikogo straszyc – oznajmia dziadek takim tonem, jakby nie miał wątpliwości, co do słuszności tych słów. A ja wierzę mu bezgranicznie, bo wiem, że dziadek nigdy nie rzuca słów na wiatr.

Potem wkłada kukułkę z powrotem do ciemnej jamy, składa zegar i mocując się niemało, odnosi go na miejsce.

Stoimy w napięciu, czekając aż wybije pełna godzina. Czas wlecze się w nieskończoność...

Wreszcie do naszych uszu dobiega bim-bam, bim-bam. Kukułka wylatuje z małej klapki, ale w niczym nie przypomina już tego straszego ptaszyska, którym była w nocy. Wpatruję się w tę przemianę potwora w zwykłą kukułkę zegarową i nie mogę uwierzyć w to, co mam przed sobą.

- Widzisz Krzysiu, tak to czasem jest, że strach ma wielkie oczy. Każdy się czegoś boi, ale pamiętaj, żeby temu strachowi jak najszybciej ukrećić łeb. Wtedy da ci spokój.

Kształty z przeszłości rozmywają się, tracą ostrość. Wynurzam się ze świata dzieciństwa. Znow jestem dorosły. Zасыpiam.

Siedzę teraz w warsztacie dziadka z kubkiem gorącego kakao w rękach. Delikatnie i niespiesznie wsuwam się w tajemnicze zakamarki jego świata. Obok mnie kawałki zwykłego życia – rupiecie, szpargały, trybiki, koła i inne narzędzia zegarmistrzowskie, stare zdjęcia, przywołujące w głowie obrazy sprzed lat. Coraz głębiej zanurzam się w nieuporządkowanych wspomnieniach.

Na większości zdjęć dziadek pracuje. Zawsze skupiony, przygarbiony, ze śmieszną lupą zegarmistrzowską założoną na prawe oko wygląda jak istota nie z tego świata. Twarz ma poważną. Na jednym ze zdjęć patrzy prosto przed siebie. Próbuje spojrzeć głęboko w oczy mężczyźnie, który przygląda mi się z fotografii.

Tak sobie myślę, że to dziadek co dzień nakręcał i stroił moją rzeczywistość tak, żeby wszystko w niej grało, żeby te trybiki poruszały się jak należy. Teraz, kiedy jego nie ma, muszę nauczyć się robić to sam.

Spoglądam na stary zegar schowany za skrzynką z narzędziami i od razu przysuwam go do siebie, i nakręcam. Rytmiczne tik-tak rozchodzi się po pokoju. Moje ciało przeszywa dreszcz. Jest mi przyjemnie na myśl, że tchnąłem życie w ten martwy przedmiot. Podchodzę do okna. Przez chwilę stoję nieruchomo wpatrzony nie w gwar za oknem, a w szybę, jakbym mógł w niej coś wyczytać. Uchylam jedno skrzydło. Do środka wdziera się szum ulicy i powiew chłodnego powietrza. Oddycham głęboko.

Zegar bije bim-bam, wyrывая mnie ze świata wspomnień. Sięgam do kieszeni i wyjmuję pomiętą kartkę. Po raz tysięczny odczytuję zapisany na niej wyrok, choć doskonale przecież go znam: nowotwór złośliwy. Czytam, jakbym chciał się upewnić, że litery nie zniknęły. Dalej tam są, choć chciałbym, żeby wydarzył się cud. Moje ciało od środka pożera rak. Z każdym dniem jest mnie coraz mniej. W uszach dźwięczą mi słowa lekarza: „zostało panu niewiele czasu, maksymalnie pół roku”.

„Czas to najcenniejszy dar” – nagle głos dziadka zagłusza lekarski wyrok. W tej chwili czuję niemal fizyczną obecność człowieka, który nauczył

mnie, czym jest czas i jak pokonać strach. Który pokazał mi, że życie jest piękne. Teraz jest mój czas. Jestem gotów sam nakręcać i stroić swoją rzeczywistość. Wiem, że muszę maksymalnie wykorzystać czas, który mi pozostał... bo czas to najcenniejszy dar.

Kategoria wiekowa „B” – POEZJA
I miejsce: Marika Pytlarz

Opowiedz mi o mnie

Poniedziałek brzmi jak nowy początek
Rwący się ku nieznanemu,
Mknie przez łąki, lasy, doliny,
Morza, góry, szczeliny.

Wyrwy się myśl z głowy,
Ucieka i szuka schronienia.

Nad klifem słysząc huk fal,
Cicho

Krople deszczu
Przeгонione przez słońce,
Wciąż szukam swojego miejsca,
Gdzie otulą mnie pewnością,
Że jestem ważna

Produkcja

Człowiek z małpy jak jajo z kury,
Z niczego powstaje coś.
Kształtują nas przez lata,
Stajemy się kimś,
Stajemy się kimś,
Kto znaczy,
Tak wiele jak ośmiornica w oceanie.

Ona jak i my,
Zaczynamy być artystami swojego losu.
Podróżując, poznajemy
Soczysty smak arbuza,
Będący czymś nieoczywistym.

Wgryzając się w życie,
Odkrywamy swój byt,
Taki na co dzień.

Zachłanności

Niechciany syn!
Kradzież korony
Pozbawia go wolności
W kraju pełnym chciwych ludzi.
Ojciec grzmot, matka promyk
Otula pierzastym ramieniem dziecko,
Pragnące jedynie matczynej miłości,

A dostaje tylko
Nic nie znaczące prezenty.

Pragnie więcej,
Pragnie słowa,
Pragnie czynu,
Stale czeka

Na dekret czułości.

II Miejsce: Antonina Mrowiec

Fotografie

Czarno- białe skrawki papieru
oszuwały czas...

Fotografie stare
pożółkłe, bez retuszu
ujęcia niedoskonałe, niepoprawiane
zawstydzone cyfrowymi selfie
pochowały się w pradawnych albumach

Pradziadek stoi poważnie w wojskowym mundurze
Babcia z warkoczykami w komunijnej sukience
Młoda para ze ślubnego kobierca ogrzewa uśmiechem miłości
Ogród dziadków umajony kwiatami skrzeczy piskiem dzieci
Mama w beciku okryta białą szatką bezlitośnie rozszarpuje kościelną ciszę
Tata wdrapuje się na stary orzech - dumny alpinista na szczycie góry
Stara choinka podsłuchuje najszczerze świąteczne życzenia

Rodzinne fotografie- spektakl życia
aktorzy bez generalnej próby
odgrywają niepowtarzalne role
milcząc mówią
w bezruchu wygrywają nostalgiczne pieśni
muskają struny mego serca
wycierają kurz z pamięci

Żywioly marzeń

Targają mną żywioly
nieokielznane
Wabią i bałamucą

Myśli moje uderzają o kamienie
w rwącym potoku
niczym fale walczące
ze statkiem

Słowa moje iskrzą
w płomieniach ciszy
niczym ogień przecinający
ciemność

Ciało moje rozkołysane
niczym liść
w objęciach wiatru

Serce obsiane ziarnami
wyobraźni
kielkuje nowym życiem

Uwiedziona żywiolami marzeń
Utknęłam w krainie fantazji

Jak cudownie !

Leśne ukojenie

W mglistych życia momentach
dobroduszny Anioł Stróż
wiedzie mnie na rozstajne szlaki leśne

U stóp smukłych niczym baletnice sosen
albo pod dębów królewskimi koronami
wśród tańczących z wiatrem modrzewi
wsluchana w brzozowy szept
przystaję ja, pokorna małeńka mrówka...

Czasem pełzam po liliowym kobiercu wrzосу
spijając orzeźwiający nektar
Czasem podglądam spacery łani z jeleniami
po romantycznych alejach zakochanych
Czasem przemierzam kładki chwiejne omszałe
z drżeniem szukając odwagi
Czasem wśród szmaragdowych paproci
ocieram się o diamentowe krople rosy

Oczy zielenią blaskiem natury
złociste promienie przecinają mgłę
delikatny wiatr przegania smutki
na aksamitnym mchu zostawiam
uśmiechnięte ślady

Wypełniam myśli i serce
harmonijnym koncertem lasu

III Miejsce: Anna Błażejewska

Nie jestem Samotna.
Co to w ogóle znaczy?
Samotność.
Różnie mówią,
Jednak ja wiem, że nie jestem Samotna.
Otaczam się niesamowitymi ludźmi.
Czuje do nich coraz większa bliskość,
Przegadane godziny,
Mówiąc o rzeczach tak nieistotnych,
I tak cholernie ważnych zarazem.
Już nie ma o czym,
My nadal rozmawiamy.

I coraz swobodniej dzielimy dotyk.
Czasem, jeszcze, czujemy skrępowanie,
Ale coraz częściej
Zdarza się, że weźmie mnie za rękę.
W kieszeni mojej,
By ogrzać ręce swoje
Nie ma pojęcia ile to dla mnie znaczy.

Mam komu mówić dobranoc,
Dziękuję i kocham.
W tych nie samotnych dniach
Czuje się pełna i kompletna,
Z najbliższymi.

Ale jak nadejdzie wieczór, czy noc.
Już z wszystkimi się pożegnam,
To coraz częściej,
Czuję, że brak mi bliskości, na którą nie stać przyjaźń.
Bliskości nieskończonej,
Z którą się nie żegnasz.
Chciałabym poczuć czyjaś obecność.
W łóżku, tak nieskrępowanie,
Żeby ktoś przytulił,
Otulił ciepłem swoim,
Żeby zasypiać w objęciach
Niesamotności.

„O Rzymie”
Jestem w Rzymie.
Pierwsze o czym myślę,
To o Tobie.
Cały mój pokój wypełnia zapach po Tobie.
A może to tylko złudzenie,
I tęsknię po Tobie.
Ale nie powiem na głos o Tobie.
Nie teraz, nie w Rzymie,
Nie o Tobie.

Pragniemy jej, tak bardzo, bo jest nieuchwytna.
Trzymamy się jej, tak mocno, bo jest tak krucha.
Szukamy jej, bo jest tak rzadka i piękna.
Ryzykujemy dla niej, bo myślimy, że się odwdzięczy.
Prosimy aby została, bo wierzymy, że jest najważniejsza.
Błagamy by dała znak i się pokazała.
Przymykamy oko na jej szaleństwa, bo jest wyjątkowa.
Chronimy ją, bo jest tak bezcenna.
Ufamy jej, bo jest tak bardzo zawodna.
I to wszystko na marne,
I tak się chowa i ucieka.
Dlaczego?

Wyróżnienie: Diana Pyrozhenko

Światło

Czy można usłyszeć światło?

- Tak, ma przecież wiele kolorów.

Jak głosów.

Możesz je zobaczyć w tysiącach dźwięków.

A jak brzmi światło?

- Dla każdego inaczej.

Dla niektórych jak promień słońca.

A dla innych jak ostatnia nadzieja o zmierzchu.

Czy można dotknąć światła?

- Można.

Jest jak czysta woda, kiedy ratujesz człowieka.

Z samego nawet dna.

Czy można zabrać komuś światło?

- A można odebrać matce dziecko?

I czy możesz mnie nie wpuścić do swojego domu?

Możesz. Ale pamiętaj, że wtedy nie zaśniesz.

Księżycu nie porównam

Księżycu nie jest tak daleko
Twój dom jest znacznie dalej
Nienawidzę tego inżyniera
Który zbudował mur na środku domu

Księżycu nie jest taki piękny
Twoje oczy płoną znacznie jaśniej
Spojrzysz, a skrzydła same przylecą do ciebie
Nawet w środku głębokiej i ciemnej nocy

Księżycu nie kontroluje przyływów w ten sposób
Co ty, tak zręcznie i hałaśliwie
Przygarniasz mnie i wypędzasz
I nie dochodzę do siebie

Księżycu nie jest taki duży
Jak moje serce samotne
Pozostawione, bez ciebie, na pastwę katastrofy
Wracaj co noc, a pozostanę twórcą

Gwiazdy będą płonąć wiecznie

Gwiazdy nie płoną dla siebie
To latarnie na niebie Nocy
Prowadzą dobrych do domu
Z miejsc, z których nie wyjścia

Gwiazdy nie płoną dla siebie
To rycerze, którzy cię pilnują
Nie wprowadzają w błąd
I nie pozwolą tańczyć ze śmiercią

Gwiazdy nie płoną dla siebie
To medycy pośrodku niczego
Leczą rany, nocą nie do zniesienia
Ukrywają ból w srebrzystych chmurach

Gwiazdy nie płoną dla siebie
I nie umierają na środku nieba
W oczach tego, który widział ich upadek
Zamykają oczy, wybaczą wszystko

Kiedyś i dziś

Kiedy miałam sześć lat, jechałam pociągiem. W czerwonym wagonie, z obitymi wytartą skórą siedzeniami w takim samym kolorze, promieniach zachodzącego słońca, które z trudem przebijało się przez zakurzone okna. Jechałam siedząc na kolanach mamy, która, zmęczona dziesięciogodzinną zmianą w szwalni, przysypiała z głową opartą o szybę. Obok nas siedziała Pani. Nie jestem w stanie stwierdzić jakiego była wzrostu i nie potrafię określić jej wieku. To był czas w moim życiu, gdy wszyscy wydawali mi się wysocy. I nieco podstarzali. Zapadł mi natomiast w pamięci jej strój, bo w przeciwieństwie do innych pasażerów, odzianych najczęściej w stroje robocze, od zabrudzonych farbą spodni, po znoszone garsonki z drugiej ręki, ta Pani była ubrana w sukienkę. Najwspanialszą kreację, jaką widziałam, w swoim krótkim życiu, moje sześciolatnie oczy. Zwiewny, herbaciany materiał, aż do samej ziemi, gorset wyszywany w małe białe kwiatuszki, z których każdy miał po pięć płatków, i bufiaste rękawy ściągnięte cieniutką gumeczką na wysokości nadgarstka. Była dla mnie ucieleśnieniem marzeń, o których nawet nie wiedziałam, że je mam. Zaczęłam zbierać skrawki materiałów, tkanin, namiastki dzieł sztuki, które tworzyły. Tiulowych, jedwabnych, zamszowych, w najróżniejszych barwach i w najciekawsze wzory. Szukałam tego pięknego skrawka, w kolorze herbacianych róż i zatopiłam się w świecie igieł i nici, bawełny i poliestru.

Kiedy miałam siedem lat, mrozy pochłonęły cały nasz opał, a mimo to nie ustępowały. Budząc się w pewien mroźny czwartek nie zdawałam sobie sprawy, że braki surowcowe zostawały uzupełnione po kolei palnymi elementami naszej własności materialnej. Palono wszystko, w kolejności od najmniej potrzebnych rzeczy, do tych najpotrzebniejszych, w którym to spisie, jestem przekonana, dzieci były gdzieś pomiędzy garniturem ślubnym ojca, kupionym na kila, a nowym prześcieradłem, które przysłała nam, owiana legendą, ciotka Jolka, która uciekła do Ameryki. Na pierwszy ogień, dosłownie, poszedł mój zbiór, który osiągnął wówczas imponujące rozmiary czterech i pół dywanu, która to jednostka obowiązywała w moich pomiarach, ze względu na pewne braki w wyposażeniu. Niestety mimo nadziei, ta ofiara, na którą, oprócz okazałych objętości (wątpliwej palności) tkanin, złożyło się również serce najmłodszej córki, które w tych okolicznościach pękło na pół, mrozy dalej trzymały.

Kiedy miałam dziesięć lat lubiłam koty. Nasza sąsiadka miała dwa egzemplarze tych miauczących stworzeń, jeden czarny, jak węgiel sporadycznie pokazujący się na składzie materiałów, budowlanych po drugiej stronie ulicy, a drugi rudy, jak beret, który jego właścicielka nosiła sezonowo, od września do listopada. Na zimę Staruszka przywdziewała, dzień w dzień, moherowe nakrycie głowy w odcieniu głębokiego granatu. W miesiącach wiosennych, towarzyszyła jej barwa soczystej zieleni, z przerwą na wielki tydzień, kiedy stosownie do okoliczności nosiła fiolet. Była sympatyczna, czego jednak nie można było powiedzieć o jej kotach, które swoje wrogie nastawienie do świata prezentowały na przemian prychając i sycząc, nie odpowiadając na moje pełne uwielbienia *kici kici*, którym obdarzałam je za każdym razem, gdy stawaliśmy sobie wzajemnie na drodze. Tylko raz, oprócz pełnego nadziei wołania, wyciągnęłam przed siebie rękę, wierząc, że mój dotyk będzie magiczny i pod jego wpływem staną się miłe. Wtedy właśnie prawie straciłam palec. Pozostały mi więc tylko marzenia o uległym futrzaku, którego mogłabym obdarzyć bezgraniczną, wzajemną miłością. W domu było i tak za dużo gęb do wykarmienia, o czym poinformowano mnie niezwłocznie, w momencie, kiedy moje dziecięce pragnienie nieostrożnie zostało wypowiedziane na głos.

Kiedy miałam nadal dziesięć lat, pewnego majowego popołudnia, wracałam ze szkoły. Słońce świeciło wysoko, nad drogą unosił się kurz, wzniecony przez przejeżdżające przed chwilą auto, a w powietrzu unosił się intensywny zapach jaśminowca, rosnącego za dziurawym ogrodzeniem, które właśnie mijałam. Mając połowę drogi za sobą, pomiędzy krzykami dzieci, bawiących się w berka, i rozpaczliwym wyciem krowy, usłyszałam głośne bzyczenie. Z każdym krokiem stawało się ono coraz głośniejsze, aż moim oczom ukazała się chmara much. Mrowie much, siedzących i latających, nad zwłokami kota. Bez jednej łapy. Oddaliłam się z tego miejsca szybko, na wszelki wypadek, przechodząc na pobocze po drugiej stronie drogi. Od tamtej pory już nie chciałam mieć kota.

Kiedy miałam piętnaście lat, świat się zmienił. Upadły bariery, otworzyły się nowe możliwości. Chciałam zwiedzić świat, zobaczyć morze, a nie tylko jezioro, w którym utonął mój wujek, wejść na jakiś szczyt, może w Tatrach, albo Alpach. W naszej okolicy była jedna górką, a na niej cmentarz. To był pierwszy raz w moim życiu, kiedy rodzice zgodzili się ze mną, nawet oni upajali się wizją wolności. Zapisali mnie na lekcje włoskiego, których w naszej szkole, popołudniami udzielała Pani, która niedawno przeprowadziła się do naszego miasteczka. Pani była wnuczką Polaka i Włoszki, przez kilkanaście lat mieszkała w Rzymie i, jak powiedziała na pierwszych zajęciach, *bardzo chciała podzielić się swoją znajomością języka z młodzieżą, od zawsze czuła powołanie pedagogiczne*. Uwielbiałam tę godzinę w tygodniu i chłonęłam

każde jej słowo. Byłam z siebie dumna, jak dobrze idzie mi nauka, jednocześnie byłam zaskoczona jak dużo włoskich słów, przypomina te polskie. Między lekcjami, codziennie wieczorem, ćwiczyłam wymowę, powtarzałam słówka i wyobrażałam sobie moje przyszłe podróże, jak wszyscy chwalą mój akcent, przystojny Włoch zakochuje się we mnie, bierzemy ślub i mieszkamy w małym domku, między polami lawendy, jakie widziałam raz w atlasie.

Po dwóch miesiącach Pani zniknęła. Okazało się, że to czego nas uczyła, nawet w połowie nie przypominało włoskiego, *piesso* to wcale nie był pies, a *curcacho* nie miał nic wspólnego z kurczakiem. Tak naprawdę, nigdy nie mieszkała w Italii, tylko przez pół roku pracowała we włoskiej restauracji, prowadzonej przez Niemca. A oboje jej dziadkowie pochodzili z kieleckiego.

Mam dwadzieścia lat i jutro zaczynam lekcje tańca.

Śmieciarz

Tak go nazywałam — „Śmieciarz”. Zawsze o szóstej rano przychodził i grzebał w śmietniku.

Odkąd się tu wprowadziłam nie było dnia, żebym go nie widziała. W każdy poniedziałek wczesnym rankiem, gdy latem słońce oświetla całe miasto, a zimą, gdy miasto tkwi w letargu, oświetlone jedynie latarniami ulicznymi, on przybywał i grzebał po śmietnikach.

Zawsze zbierał co cenniejsze rzeczy. Szczególnie skrupulatny był przy wykręcaniu zakrętek z zużytych butelek. Na co mu one były? Do dziś nie wiem.

Nie ma co ukrywać, że nieco się go bałam.

Nosił takie kalosze, stare wytarte spodnie i czapkę uszankę albo kaszkiet, a na ramiona miał zawsze narzucony waciak.

Można by powiedzieć: typowy kloszard. Otóż nie. On — choć to dziwne — nie wyglądał jak bezdomny. Nie ubierał się zbyt elegancko, ale ciuchy zmieniał regularnie.

*

Pewnego razu wyszłam z domu szczególnie wcześnie, bo Luna — mój pies — piszczała pod drzwiami, dając znać, że chce wyjść na dwór. Z niechęcią, bo było chłodno, ubrałam się i wyprowadziłam ją na chwilę.

Kiedy wyszłam z klatki, usłyszałam za sobą skrzypienie starego wózka z dwoma kołami, który Śmieciarz zawsze prowadził przed sobą i zbierał do niego znalezione fanty.

Złękałam się i podskoczyłam przestraszona. Obróciłam się, a on podszedł w stronę śmietników.

Nawet nie zwrócił na mnie większej uwagi; stałam jak słup soli – sama nie wiem, dlaczego.

Wsadził głowę w śmietnik i przyglądał się czemuś, po czym machnął dłonią, złapał za rączkę swój wózek i wykręciwszy się, odszedł.

*

Innym razem zobaczyłam jego mniej spokojne oblicze.

Oglądałam program informacyjny, gdy do moich uszu dotarł dzwonek telefonu. Zerwałam się z kanapy, co wyraźnie niezadowolilo Lunę, bo głowę oparła o moją nogę.

Komórka leżała w kuchni. Okazało się, że dzwoniła jakaś paniusia i poinformowała mnie o genialnej promocji. Rozłączyłam się.

W tym czasie kątem oka zobaczyłam, że na dworze stał jakiś bezdomny i wybierał coś ze śmietnika. Niespodziewanie zza rogu wyłonił się Śmieciarz, co było dziwne dlatego, że jeszcze o tej porze go nie widziałam.

W ręce trzymał wysłużoną siekierę. Trzonek wyglądał jakby pogryzł go niedźwiedź – cały był pokryty jakimiś zagłębieniami. Zaczął nią wymachiwać i krzychał coś do bezdomnego. Mało brakowało, a by go uderzył. Otworzyłam szybko okno i krzyknęłam:

- Co pan?! Przecież tym można zabić!

Śmieciarz zwrócił swe oczy ku górze.

- A ty się nie wtrącaj, smarkulo! – krzychał, wznosząc jednocześnie siekierę w moją stronę.

Nie zwrócił na mnie jednak większej uwagi. Wygrażał coś nieznanemu, a bezdomny zaraz się ulotnił.

Śmieciarz pilnował swojego terenu.

*

Miałam wrażenie, że Śmieciarz zajmuje zbyt dużo miejsca w moich myślach. Uznałam, że nie warto się chłopem przejmować. Niech chodzi po tych śmietnikach, ale ja nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Tymczasem miałam inne problemy. Śmieciarz nie był utrapieniem, bo widywałam go rzadko. Nie mogłam tego samego powiedzieć o panu Jureczku z drugiego piętra.

Gość miał ze czterdzieści lat. Chodził całymi dniami z góry, z mieszkania, na dół, do piwnicy. Zawsze ubrany był w jakieś spodnie dresowe, zwykły T-shirt (często poplamiony) oraz nosił kaptcie. W piwnicy zaś trzymał zapasy piwa.

Nie raz rozmawiałam z jego żoną, która skarżyła się na męża-nieroba. Współczułam jej. Biedaczka musiała na niego harować, ciężko pracując, a on jedyne, co przynosił do domu, to zasiłek dla bezrobotnych.

Najlepsze (a raczej najgorsze) było to, że Jureczek ewidentnie mnie podrywał. Nie jestem w stanie zliczyć, ile razy zaczepiał mnie na klatce schodowej i mamrotał jakieś bzdury albo ile razy pukał wprost do moich drzwi, żeby coś powiedzieć, albo wychodził ze swoim psem na spacer dokładnie w tym samym momencie, co ja i szedł akurat w to samo miejsce, co ja. Może przechodził kryzys wieku średniego i chciał się przypodobać?

Niedługo po wprowadzeniu się tutaj przeze mnie zaczepił mnie na klatce, rozpoczynając niezobowiązującą rozmowę jak to z nową sąsiadką.

Potem zaczepiał mnie wielokrotnie, a ja go nie odtrącałam, bo chciałam być miła. W końcu jednak miałam go dość. Czasami odnosiłam

wrażenie, że jest w stanie wymyśleć byle pretekst, by ze mną porozmawiać.

Przed dwoma tygodniami zadzwonił do mnie dzwonkiem do domu. Otworzyłam drzwi.

- Witam sąsiadeczkę – przywitał się. – Pani widziała ten nowy sklep? Otwarli na końcu ulicy.

- Nie, nie widziałam – łąłam. Już kilka dni temu obczaiłam asortyment.

- To trzeba zobaczyć. Sprzedają tam skarpety, ale to takie, że hej! Pani patrzy. – Schylił się i podwinął nogawkę, prezentując swój nowy nabytek. – O, tak. Pani patrzy. – Złapał za skarpetę, pokazując wyśmienitą jakość materiału. – To nie żadna fuszerka, ale porządna robota, ot co. – Wyprostował się i zaczął kręcić się w miejscu oraz wywijał nogami niczym modelka prezentująca najnowszą kreację.

Te jego skarpety były chyba podkolanówkami, bo po podwinięciu nogawki nie widziałam ich końca. Szczerze mówiąc, miałam ochotę wybuchnąć śmiechem, patrząc na te jego wygibasy.

Przestał w końcu strugać wariata i przeszedł do frontalnego ataku:

- Może chciałaby pani się... heh... Że tak powiem, wybrać się ze mną, tak się przejść, wie pani... Zobaczyc, co tam mają, bo pani jeszcze tam nie...

- Tak, tak. Bardzo chętnie... Ale ja teraz wyjść muszę z Luną – łąłam po raz kolejny.

- Idealnie się składa! Ja miałem z moim psem wyjść, to pójdziemy razem, a przy okazji może do tego sklepu wpadniemy...

- Ale ja z nią do weterynarza muszę iść.

- Uuu... To kicha. A coś poważnego?

- Ma biegunkę. – To było już trzecie kłamstwo.

- To niedobrze, niedobrze... Dobra, idę i nie przeszkadzam. Jak już pani wróci, to proszę wpaść i powiedzieć, jak tam ma się sunia.

- Jasne, jasne – pożegnałam się pośpiesznie i zatrzasnęłam drzwi. Wzięłam głęboki oddech, a w duchu radowałam się, że udało się pozbyć natręta.

*

Wracałam z pracy i widziałam żonę mojego „adoratora”, jak targała do domu dwie torby z zakupami z samochodu. Ucha reklamówek aż uginały się pod ciężarem, a biedaczka co chwilę przystawała, kładła zakupy na ziemi i odpoczywała.

Zrobiło mi jej się żal.

- Proszę poczekać! – powiedziała na tyle głośno, by mnie usłyszała, ale nie krzyczałam. Odwróciła się. – Pomogę pani.

- O, nie... Naprawdę, nie trzeba, to niedaleko...

- Ale trzeba to jeszcze wnieść na górę, a pani ledwo idzie. Proszę dać tę reklamówkę. – Złapałam za jedną, a sąsiadka już po chwili odetchnęła z ulgą, gdy zmniejszył się ciężar.

Poszłyśmy w stronę klatki, a gdy wstukałam kod, zaczęła żalić się na męża nieroba. zaproponował jej, żeby zostawiła torby w domu i wpadła do mnie na kawę.

Tak też zrobiła i już po kilku minutach rozsiadłyśmy się w fotelach w wynajmowanym przeze mnie mieszkaniu i plotkowałyśmy.

Skończyło się na tym, że urządziłyśmy małe przyjęcie. W kuchni spędziłyśmy dobrą godzinę, upichciłyśmy kilka przekąsek oraz wypiliśmy butelkę wina, po której skoczyłam do sklepu.

Sąsiadka wypila trochę za dużo, bo aż miała wypieki na twarzy, a ja zadowoliliam się dwiema lampkami.

*

Niedługo po jej wyjściu zawołałam Lunę, założyłam jej obrożę i poszłyśmy na spacer.

Na klatce było równie ciemno, jak na dworze. Zapaliłam światło i zbiegłam z Luną po schodach.

Nacisnęłam dłonią na kłamkę i wyszłam na dwór.

Przy bloku paliły się latarnie. Luna od razu wbiegła na trawnik. Przebierała łapami aż miło, a ktoś właśnie w tym momencie złapał mnie za lewą rękę. Szarpnął mną, a smycz wyleciała mi z ręki.

Krzyknęłam.

Niestety nie za wiele mogłam zdziałać, bo ktoś trzymał mnie przyciśniętą do piersi, a ja pomimo tego, że szarpałam się, machałam rękami i nogami, nic nie mogłam zrobić.

Gość był na mnie za silny. Zasłonił jeszcze moje usta dłonią tak mocno, że nawet nie byłam w stanie go ugryźć.

Trzymał mnie w powietrzu, a ja dalej majtałam nogami w powietrzu. Serce waliło mi jak szalone i nie wiedziałam, co robić.

W tej chwili usłyszałam trzask oraz krzyk. Sekundę później leżałam już na ziemi. Upadając, rąbnęłam kolanem o bruk, a po ciele przeszedł przesywający ból. Jęknęłam.

Od razu odwróciłam się i zobaczyłam, że ktoś, kto mnie najwyraźniej chciał mnie porwać, dostał od osoby, której się tutaj w ogóle nie spodziewałam – po głbie okładał go Śmieciarz.

Kryminalista nie mógł nic zrobić, bo ten tak go blokował. W końcu soczystym uderzeniem trafił go w zuchwę, coś chrupnęło, a on odwrócił się i uciekł w ciemną uliczkę, na której nie było żadnych latarni.

Dyszałam na chodniku i patrzyłam na Śmieciarz, który stał przede mną.

Dyszałam, jakbym przebiegła maraton.

- Dz... Dziękuję... Panu – wydukałam z siebie te kilka sylab.

- Nie ma za co. – Podrapał się po głowie i uchylił czapkę. – Do usług.

Wstałam i otrzepałam spodnie z brudu.

- Naprawdę, jeszcze raz dziękuję.

Śmieciarz ulotnił się tak szybko, jak się pojawił, niczym jakiś tajniak.

Odnalazłam Lunę, która po ucieczce schowała się za jakimś drzewem i skubała trawę.

Do dziś mam jednak dziwne wrażenie, że tym, który mnie napadł, był Jureczek.

III Miejsce: Jakub Wiśniewski

W pewnej małej wiosce żył sobie niepozorny nastolatek imieniem Wojtek. Był to siedemnastoletni, niski chłopak o rudych włosach i wesołym spojrzeniu. On i jego rodzice mieszkali na końcu wsi obok lasu.

Nie był to zwykły las, lecz zaczarowany. Mieszkały w nim przeróżne magiczne istoty – od małych, roześmianych wrózek, po wielkie i groźne trolle. Czasem można je było zobaczyć na skraju lasu. Nie wychodziły za linię drzew. Mało kto zapuszczał się w głąb tej puszczy. Zdarzali się jednak odważni bądź głupi, którzy próbowali szczęścia w upolowaniu magicznego zwierzęcia. Rzadko kto wracał, a ci, którym się to udało, nigdy już nie byli tacy sami. Zmieniali się w ospałych, małowównych wyrzutków, którzy nie wiedzieli, kim są i co robili w przeszłości. Plotki mówiły o osobach, które zostały w lesie jako o także zmienionych, ale w piękne bądź obrzydliwe istoty w niczym nieprzypominające swojego poprzedniego wcielenia. Niektórzy mówili o wielkim lazurowym kamieniu, który przeobrażał ludzi po spojrzeniu się na niego. Inni mówili o przerażającym czarnoksiężniku zamieszkującym ten las od wieków. Podobno każdy, kto wszedł do jego królestwa, zostawał zmieniony w jego służbę. Jeszcze inni mówili, że w lesie rosną magiczne karmazynowe kwiaty zwane kwiatami odmienienia. Wypuszczany przez nie pył osiadał na skórach podróżników i przeistaczał ich postacie na inne.

Młody Wojtek pewnego dnia udał się nad pobliską rzekę łowić ryby. Była to mała, kręta rzeczka znikająca w pobliskim zaczarowanym lesie. Chłopak lubił tam przebywać, ponieważ mało kto chciał się zbliżyć do puszczy. Wolał mieć za towarzyszy zwierzęta aniżeli ludzi. Czasem można było usłyszeć, jak rozmawia ze swoimi zwierzęcymi przyjaciółmi. Był przez to wyrzutkiem, jednak jemu to nie przeszkadzało.

Gdy tak sobie siedział nad brzegiem, usłyszał głośniejszy plusk od strony lasu. Spojrzał w jego kierunku i ujrzał piękną kobietę zanurzoną do piersi w wodzie. Miała na sobie jasną sukienkę. Mimo że dzieliła ich pewna odległość, Wojtek dostrzegł jej szmaragdowe oczy wpatrujące się w niego. Włosy, słomiane niczym pszenica, opadały na blade ramiona, a na głowie znajdował się wianek upleciony z kwiatków. Jej smukła ręka wyciągnięta była w jego stronę.

Oniemiały chłopak chwilę się przyglądał tajemniczej piękności. W pewnym momencie wstał zaciekawiony i zaczął iść w jej kierunku. Ręka kobiety drgnęła na ten nagły ruch. Jakby niepewna, czy może zaufać zbliżającemu się nieznanemu, zanurzyła się w wodzie po oczy gotowa do prędkiej ucieczki. Gdy dzieliło ich już kilka kroków, Wojtek się odezwał:

- Kim jesteś?

Kobieta nie odpowiedziała od razu. Wpatrywała się w niego swymi wielkimi, zielonymi oczami. Wreszcie wynurzyła różowe usta i odpowiedziała melodyjnym głosem.

- Jestem twoją wybranką.

- Nie widziałem cię nigdy dotąd.

- Chcesz ze mną potańczyć? – dziewczyna zignorowała uwagę Wojtka.

Zdezorientowany chłopak patrzył tylko, jak dziewczyna wychodzi na brzeg. Woda ściekała z przemoczonej sukienki. Na jej twarzy widniał szeroki uśmiech, a gdy ich spojrzenia się spotkały, zaśmiała się głośno. Stała na brzegu lasu i czekała na chłopaka.

- Chodź do mnie. Pobawimy się – młodzieniec usłyszał perlisty śmiech.

- Jesteś mieszkanką tego lasu – powiedział cicho Wojtek.

- To nie jest ważne – ucięła i ponagliła ze zniecierpliwieniem. - To jak? Idziesz?

Chłopak przez chwilę się wahał, ale niezbyt długo. Przekroczył granicę lasu, a dziewczyna od razu pociągnęła go w jego głąb, śmiejąc się nieustannie. Zaprowadziła go na małą polanę położoną w pobliżu rzeczki. Porwała go do tańca. Płasali, obracali się i skakali do śpiewu ptaszków ukrytych w koronach pobliskich drzew. Taniec wydawał się nie mieć końca i mimo zmęczenia nie przestawali. Dziewczyna trzymała Wojtka w żelaznym uścisku, nie chcąc go puścić mimo próśb o przerwę. Nagle zapytała z promiennym uśmiechem na twarzy:

- Spróbujesz odgadnąć zagadkę?

Młodzieniec tylko kiwnął głową zmęczony. Upadł na trawę, dysząc z wysiłku.

- Jeśli nie odgadniesz, jaka jest odpowiedź, zatańczymy jeszcze raz – oznajmiła z figlarnym uśmieszkiem. - Tym razem jeszcze dłużej.

- A jeżeli będę znał odpowiedź?

- Wtedy się uratujesz i pojmiesz mnie za żonę – mrugnęła do niego.

Wojtkowi spodobał się ten pomysł. Bez namysłu zachęcił dziewczynę do mówienia, a ona zadała zagadkę:

- Co to jest:

Nie widzisz go, jednak często go spotykasz,

Kradnie twe łyzy, a sam przeciągle zawodzi,

Za jego sprawą z problemami się borykasz,

Jednak pomocą swą psikusy wynagrodzi?

Wojtek myślał głęboko nad zagadką. Zmarszczka przecięła jego młode czoło na dwie części. Mruczał pod nosem usłyszane słowa, próbując uratować się przed śmiertelnym tańcem. Wreszcie tak rzekł:

- To jest wiatr.

Kobieta zaśmiała się nerwowo.

- To poprawna odpowiedź – powiedziała swoim pięknym głosem.

Pocałowała go w usta. W tej chwili Wojtek został członkiem lasu. Spojrzał w dół i z przerażeniem odkrył, że dolną część ciała obrosła szorstka, kręcona sierść sięgająca małych, czarnych kopyt. Wrzasnął na cały las, aż pobliskie ptaki z głośnym trzepotem skrzydeł wzbiły się w powietrze. Poczł na czole lekkie drgania, którym towarzyszył ból. Złapał się rękami za głowę i poczuł pod rękami wyrastające w górę wypustki. Zaczęły się zakręcać, aż w końcu drgania i ból ustały, a na głowie pozostały mu dwa kozie rogi.

Pobiegł w stronę wioski, lecz gdy już widział wyłaniające się zza krzaków drewniane chatki, coś kazało mu zwolnić, a wreszcie zatrzymać się. Stał tak na krawędzi lasu, walcząc ze sobą, aż jego wybranka go dogoniła.

- Co się stało mój drogi? – spytała.

- Ty mi to powiedz! – krzyknął spanikowany Wojtek.

- Zostałeś członkiem lasu. Przecież zrobiłeś to dobrowolnie – rzekła dziewczyna zdziwiona.

- O niczym takim nie było mowy!

Nie odpowiedziała na to, tylko pociągnęła go za ramię w kierunku lasu.

- Chodź. Teraz masz nowy dom – uśmiechnęła się, po czym dodała. - Masz mnie.

Wojtkowi spłynęła po policzku łza, gdy usłyszał te słowa. Po chwili lkał cicho, a jego nowa partnerka tuliła się tylko do niego. Wreszcie wstał i odszedł w głąb lasu zgarbiony.

Wiele razy próbował z niego uciekać, jednak niewidzialna siła nie pozwalała mu wyjść poza jego obszar. Rodzina uznała go za zmarłego. Plotki głoszą, że czasem można zobaczyć młodego mężczyznę z kozimi rogami na skraju magicznego lasu wśród wysokich drzew i gęstych zarośli. Patrzy się nieobecny wzrokiem na małą rzeczczkę wypływającą z puszczy. Za nim stoi piękna złotowłosa dziewczyna, obejmująca go z uśmiechem na twarzy. Po chwili znikają w lesie wśród chichotów partnerki.

Polowanie na jednoroźca

Dzień schylał się ku końcowi. Słońce powoli schodziło w dół, ku horyzontowi. W tym czasie, na rozległej łące pasł się majestatyczny, smukły jednorożec. Promienie zachodzącego słońca odbijały się w srebrzystej sierści ogiera, która na brodzie i kopytach była niesamowicie długa i bujna, podobnie jak biała grzywa. Jego ogon był cienki i długi, zakończony białą, puszystą kitą. Nie był to jednak pierwszy lepszy jednorożec, bowiem był to sam Srebrny Pył - ich król. Majestat i niezwykłą ilość wiedzy o dawnych latach podziwiała wszystkie zwierzęta mieszkające w pobliskich lasach, czy ich okolicach. Cieszył się szacunkiem zarówno potulnych zwierzątek, jak i groźnych, olbrzymich bestii, takich jak smoki czy hydry. Wiódł życie spokojne i beztrioskie, zazwyczaj pasąc się na łąkach, noce spędzając w lasach. Nie wiedział nawet, że jego beztrioska doprowadzi go w końcu do poważnych konsekwencji, o których nawet nie śnił. Tego wieczoru również niczego się nie domyślał.

Wtem z niebios nadleciało wielkie, białe ptaszysko. Kruk o piórach bielszych niż chmury na nieboskłonie. Obłok, bo tak brzmiało jego imię, był dobrym przyjacielem i swego rodzaju prywatnym plotkarzem jednoroźca, który informował go o wszystkim rzeczach, jakie wydarzyły się w okolicy. W końcu usiadł na gałęzi pobliskiego drzewa i zwrócił łeb ku ogierowi.

- Bądź pochwalony, Srebrzysty Pyle – wykraczał. Jednorożec spojrzął w górę na przyjaciela, podchodząc bliżej drzewa.

- Obłoku – skinął głową – jakie wieści mi przynosisz?

- Ludzie po Ciebie idą, Wasza wysokość. Podobno naj słynniejszy rycerz i łowca czyha na Ciebie, pewien swego powodzenia.

- I cóż mi po tych wieściach? Nic to w me życie nowego nie wprowadzi – odparł król nie przejmując się jego słowami. Jedyne machnął ogonem i wrócił do skubania trawy.

- Jak to tak? Nic nie wprowadzi? Na życie Twoje czyhają, czyś nie powinien się obawiać? – kruk wpadł w niemałe zmieszanie, gdy usłyszał jego słowa.

- Nic to dla mnie nowego. Wiele śmiazków próbowało, a jednak tu stoję i mawiam do ciebie.

- Ależ Wasza wysokość, podobno upolował sam jeden smoka! Skoro pochwyił taką gadzinę, to i Ciebie doścignie! – Obłok nie ustępował.

- Jaka tam gadzina? Słyszałem już całą tę historyjkę od srok. Nie był to smok, a małe smoczątko. Bezbronne smocze czekało na swoją matkę, i widać, że się jej nie doczekało – skwitował Srebrny Pył i odszedł od drzewa.

- Chcesz słuchać tych przemądrzałych srok? Zresztą, smok czy małe smocze, ludzie i tak tu przyjdą.

Jednorożec tylko stanął i obrócił głowę ku krukowi. Tupnął prawym kopytem, strzelając ogonem jak biczem.

- Niech przychodzą. Nie boję się ich. Wiem, że nie zdołają mnie schwytać. Stąpam po tym świecie tysiące lat dłużej niż Ty, Obłoku. Wiele rzeczy już widziałem, ale jeszcze nie dożyłem dnia, w którym człowiek byłby choć odrobinkę bliski schwywania mnie.

- Na każdego przychodzi czas, Wasza wysokość. I na Ciebie przyjdzie. Nie mów tylko potem, że nie ostrzegałem.

- Jak już co do czego dojdzie, to prędzej wyrzucę Ci, że wykrakałeś. A teraz możesz odejść. Skończyłem posiłek. I tę rozmowę również.

Kruk odleciał bez słowa. Ogier również odszedł w milczeniu. Tylko prychał z oburzeniem pod nosem. Cóż on sobie wyobraża? - pomyślał – ludzie mieliby schwytać mnie? Króla jednorożców? Nieuchwytnego od tysięcy? Niedoczekanie ich, jeśli myślą, że chociaż musną mnie swoimi wynalazkami.

I tak zakończył się dzień. Był spokojny, jak każdy jeden. Jednak, po każdym dniu nadchodzi noc. W końcu, stało się to, przed czym przestrzegał go kruk. Ludzie wyszli, aby schwytać króla. A ten wrócił w to samo miejsce i paś się pod drzewem, nieświadomy niebezpieczeństwa. O obecności intruzów dowiedział się dopiero po tym, jak jedna z niefortunnie rzuconych sieci upadła kilka kroków od niego.

Nim ktokolwiek zdołał się obejrzeć, ogier popędził wprost do lasu. Wiedział, że żaden człowiek go nie dogoni, ani nie znajdzie pośród drzew. Gdy pędził między drzewami, nawet na myśl mu nie przyszło, że wciąż jest zagrożony. W końcu grunt załamał mu się pod kopytami i spadł prosto do wykopanej pułapki, którą do tej pory kryły liście. Zarżał doniośle, bezskutecznie próbując wydostać się z dołu. Ujrzał w górze człowieka, który stanął na krawędzi dziury. Ten zarzucił pętlę na jego szyję, krzycząc za swoimi towarzyszami. Nim ogier zdążył cokolwiek zrobić, tkwił w masywnej, żelaznej klatce, w której ledwo się mieścił. Kraty były zbyt grube i zbyt gęsto umiejscowione, aby ogier mógł się prześlizgnąć.

- Jak śmiecie mnie więzić!? Puście mnie wy barbarzyńcy albo poznacie, które pół dnia dłuższe! – wykrzykiwał. Jednak dla ludzi był to zaledwie niezrozumiały bełkot, zwykłe rżenie.

Jeszcze tej samej nocy dotarł do wioski ludzi. Mimo późnej pory, miasto tętniło życiem. Ludzie wychodzili na ulicę, aby obejrzeć nigdy dotąd nie uchwycone przez ludzką rękę stworzenie. Wiwatowali, wykrzykując imię

kroczącego na przedzie łowcy. Srebrzysty Pył tylko patrzył na niego nienawistnym wzrokiem, gdyby tylko mógł, rozprawiłby się z nim jednym kopnięciem, jednym ruchem. Ale nie mógł. Czuł wściekłość, upokorzenie i odrazę do parszywców, którzy go schwytali. I tak właśnie nieuchwytny, nieposkromiony król jednorożców skończył zamknięty pośród żelaznych krat w samym centrum ludzkiego siedliska. Jakież to było dla niego upokorzenie, upokorzenie, z którym nie umiał sobie poradzić. Był teraz bezsilny.

W zamknięciu spędził dwa dni, dwa cholernie długie dni, podczas których ogier marzył tylko o ucieczce. Trzeciego dnia myślał, że nareszcie przysłała na nią okazja, kiedy wprowadzono go z klatki. Jednak lin i ludzi, którzy go trzymali było zbyt wiele, aby zdołał się im wyrwać. Kiedy dowiedział się co go czeka, aż zabrakło mu tchu w piersiach. Powalony na ziemię, z łbem przyszpilonym bez ruchu do gruntu, patrzył jak ten sam łowca, który go schwytął, wykonuje zamach nad jego łbem. Na próżno próbował się wyrwać, wzywając jakiegokolwiek stworzenie, które mogło mu pomóc. Widział, jak ostrze leci w kierunku jego głowy. Zamknął przerażony oczy i...

Trzask.

Uchylił lekko powieki, rozszerzając je dopiero, gdy zobaczył swój odcięty, srebrzysty róg w dłoniach łowcy. Słyszał głośnie okrzyki ludzi, słyszał, jak skandują imię jego oprawcy, słyszał, jak go wychwalają. Słyszał... wrzaski. Krucze wrzaski, tak liczne i donośne, jakby setki smoków ryknęło w jednej chwili. Ujrzał na niebie chmurę czarnych, ogromnych ptaków, na której czele dostrzegł swojego przyjaciela. Ptaszydła runęły z nieba niczym fala smoły, wprost na przerażony tłum ludzi. Gdy Srebrny Pył poczuł, jak kruki przedziobały węzły, gdy zobaczył jak trzymający go wcześniej ludzie próbują teraz odgonić atakujące ptaki, w mgnieniu oka stanął na nogi. Ile tchu w piersiach popędził niczym huragan w stronę bramy. Nie oglądając się za siebie dotarł pod wywarzoną bramę miasta. Wokół jej szczątków czekała piątka masywnych ogierów. Ukłoniły się Srebrnemu Pyłowi, gdy ten wybiegał z miasta i pozdrowiły go. Ogier odwrócił ku nim wzrok ani na chwilę nie przestając biec. Nie widział ich wcześniej i nie znał ich imion, ale wiedział jedno - kimkolwiek byli, nigdy nie zapomni ich czynu. I nigdy nie będzie w stanie wyrazić słowami, jak wiele im zawdzięcza.

Zatrzymał się dopiero wiele mil za otaczającymi ludzką osadę lasami. Łapał wycieńczony oddech, rozglądając się we wszystkie strony. Podeszedł do pobliskiego strumienia i przejrzał się w taflę wody. Ostatki rogu niemal całkowicie kryły się pod jego grzywą. Jakże wielką karę zapłacił za swoją bez troskę. Za bycie głuchym na słowa rozsądku. Wtem usłyszał za sobą głos.

- Spóźniłem się.

Srebrzysty Pył odwrócił się. Jego przyjaciel siedział na pobliskiej skale. Widać było, że smuci się widokiem przyjaciela, jednocześnie będąc szczęśliwym, że skończyło się tylko na rogu.

- Obłoku – zaczął ogier, jednak nie zdołał znaleźć odpowiednich słów. W końcu spuścił głowę i wbił wzrok w ziemię.

- Kim ja teraz jestem? – wydusił w końcu.

- Kim teraz jesteś? Myślę, że tym, kim byłeś od zawsze, Wasza Wysokość.

- Jakiż ze mnie teraz król jednorożców?

- Taki, jakim zawsze byłeś. No i może trochę bardziej rozsądnym, mam nadzieję.

- Dla mnie zawsze będziesz królem – oznajmił. Zleciał ze skały, chwytając schowaną za nią złotą koronę zdobioną różowymi klejnotami. Założył ją na szyję ogiera, zakrywając siniaki pozostawione przez liny.

- Królem byłeś, królem jesteś, królem będziesz zawsze – orzekł kruk.

Po tych słowach zapadła chwilą ciszy.

- Obłoku – wyszeptał w końcu ogier – wybacz przyjacielu, że nie posłuchałem. Nie wiem, jak Ci dziękować.

- Nawet najidealniejsi władcy popełniają błędy, Wasza Wysokość – odparł ptak i usiadł na jego grzbiecie.

- Późno już. Czas na odpoczynek. Przyda nam się, po takim dniu – wykraczył.

Jednorożec uśmiechnął się lekko i ruszył przed siebie.

I od tego czasu nikt już ich nie widział. Nikt, poza paroma krukami.

I niechaj przez tysiąclecia tak pozostanie.

List do Nieba...

Za oknem biało. Zagościła zima, może na dłużej. W moim sercu też zima, bo Ciebie nie ma już tyle czasu. Może powrócisz do mnie kiedyś we śnie, jeśli Bóg pozwoli. Niedawno minęły dwa lata, a mnie wydaje się, że minęła wieczność. Stoję przy oknie, wpatrując się w dwie wieżyczki kościoła. Wznoszą się ku Niebu – tam teraz mieszkasz. Lubię patrzeć na nie. Myślę wtedy o tym, że sto lat temu ktoś tak, jak ja teraz, z okna tej kamienicy przyglądał się im, myśląc o uciekającym czasie i ludziach, którzy byli, a już ich nie ma. W życiu wpisane jest przecież odejście. Znam każdy szczegół wieżyczek, ale to bez znaczenia. Znaczenie ma to, że też na nie patrzyłaś, kiedy mnie odwiedzałaś. Teraz jesteś daleko, ale może czasem oglądamy je razem. Tylko z innej perspektywy. Postanowiłem teraz napisać do Ciebie list, którego nigdy nie przeczytasz – chociaż nie jestem pewny. Kiedy umarłaś, napisałem do Ciebie na kartce kilka słów na pożegnanie i poprosiłem, by mama włożyła ją do Twojej trumny. Czuję się teraz zlepkim wspomnień, które noszę w sobie i przelewam je na papier w samotności. Jestem głodny Twojej obecności, a kolorowa fotografia, która stoi na półce w pokoju, nie umie nakarmić mojej stęsknionej duszy. Uśmiechasz się na zdjęciu tak, jakbyś chciała powiedzieć mi, że mam się nie martwić, bo świat kończy się pięknie, a mnie wydaje się, że utknąłem w bladym śnie, bo wyruszyłaś w nieznaną tak nagle. Świat bez Ciebie nie zmienił się, gdy w Twoje ramiona wtuliła się śmierć. Ale mój świat stał się inny. Inny niż dawniej. Mój mały świat bez Ciebie niczym morze bez fal. Zrozumiałem, że wszystko ma swój koniec, bo każdy ogień przecież kiedyś musi zgasnąć. Nad doliną ponurego snu drży powietrze, a życie wydaje się tylko pyłem. Ty jesteś już wolna jak ptak, a ja zrobię wszystko, żebyś była ze mnie dumna Tam na górze. Życie, tak jak dzień, zaczyna się i kończy nieoczekiwanie, ale miłość zostaje. Twoja miłość została tutaj. Każda jej sekunda zachowała się w moim sercu i będzie trwać. Przedemną jeszcze tak wiele... Przypuszczam, że jest Ci dobrze w Niebie. Kiedy umarłaś w nocy, prosiłem Boga, żeby było Ci Tam naprawdę pięknie. Modliłem się i płakałem. W myślach krzyczałem, że to nie może być prawda. Dlaczego?! No dlaczego? Na próżno szukałem w głowie odpowiedzi na swoje

pytania. Zastanawiałem się: „A więc tak wygląda nasz koniec?”. Niebo za oknem było granatowe, a ja zagubiłem się w uliczkach wspomnień. Potem ogarnęło mnie przekonanie, że jednak wrócisz. Nie wróciłaś. Minęło już tyle czasu, a mnie wciąż Ciebie brakuje. Czasem wydaje mi się, że gdzieś wyjechałaś i wkrótce będziesz z powrotem. Że zobaczymy się jeszcze Tu na dole. W Twoim mieszkaniu jeszcze wszystko wygląda tak, jakby czekało na Ciebie - tylko gruby kurz na książkach temu przeczy. Wokół unosi się przerażająca cisza. I ten pusty fotel... To właśnie na nim siedziałaś, gdy rozmawialiśmy. Zawsze we mnie wierzyłaś i byłaś szczęśliwa, mówiąc, że mam dobre serduszko i jestem dobrym małym człowiekiem. Wierzyłem, że będziesz przy mnie, gdy dorosnę. Ale odeszłaś tamtej granatowej nocy i zmieniłaś mój mały świat. Odeszłaś do błękitnej krainy, która jest daleko. Lekarze przez pandemię nie pozwolili mi wejść do szpitala, by ostatni raz Ciebie zobaczyć. Pamiętam, że mogła wejść tylko mama, a ja przytulony do taty stałem pod szpitalem, wpatrując się w okna na pierwszym piętrze. Wciąż czuję tamte łzy na moich policzkach i zapach mroźnego powietrza. Miałem żal do ludzi w białych fartuchach, że nie dane mi było ostatni raz spojrzeć w Twoje oczy i wyszeptać Ci, jak wiele dla mnie znaczysz. Nie odpowiedziałabyś mi nic, bo straciłaś mowę, ale czułaś moją obecność. Wciąż przeżywam ból, że rozstaliśmy się niespodziewanie, a wspólne chwile rozwiały się jak dym. To smutne, gdy człowiek odchodzi w samotności. Boli mnie dusza, jak myślę o tym, że nikt z bliskich nie mógł być przy Tobie w ostatnich chwilach. Byłaś. Nie, nie byłaś. Jesteś kochaną i najlepszą Babcią. Tak bardzo Ciebie kocham. I nieważne, czy miną trzy lata, czy pół wieku, wciąż będziesz, choć nie ma Cię przy mnie, bo jesteś gdzieś tam wysoko za chmurami. Myślę jednak, że spotkamy się jeszcze. Że to nie był koniec. Sama mówiłaś kiedyś, że bliscy czekają na siebie w Niebie, gdy opowiadałaś mi, jak straciłaś swoich rodziców, będąc dzieckiem. Jestem przekonany, że nasze oczy rozpoznają się kiedyś, gdy już będę bardzo stary. Wiem, że przez całe życie będę nosić w swoim sercu pamięć o Tobie i zrobię wszystko, żeby Ciebie nie zawieść. Mam tyle planów, tyle wyzwań przede mną i tyle marzeń do spełnienia. Uchwycę za nogi te wszystkie piękne marzenia i przeniosę do swojego życia. I naprawdę wierzę, że Ty będziesz tam na górze trzymać za mnie kciuki, Babciu.

Twój wnuczek

Osoby, których prace, poza konkursem, wyróżnione zostały ze względu na nawiązanie do twórczości Wandy Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej.

Krzysztof Przegiętka

Flis

Pamięci Agnieszki Dąbrowskiej

*Ktoś tu był teraz niedawno,
niedawno... i znak swój wszędzie
położył dokoła...*

*Ktoś zbudził przeszłość
promienną i sławną
i zaraz dawne imiona zawoła.
A dawne cienie wracają powoli
i szepczą drzewom i kwiatom o sobie.
Już obca mowa ich tutaj nie boli
i żal kamieniem nie leży na grobie.*

~ Wanda Niedziałkowska-Dobaczewska,
„Tusculanum”

W Toruniu zmierzch purpurą niebo znaczy,
A Wisłą, co skryta już jest pośród mgieł,
Jak we śnie spływają widmowi flisacy.
W dali majaczy tylko koszul ich biel.

Hej, flisacy! Flisaczkowie bośi!
A skąd to tak długo płyniecie?
Gruba Maryna „Pod Turka” was prosi.
To dziś pewnie w Toruniu zostanieie?

Z mgły zaś odpowiada coś niby stukanie,

Jakby kto śryki w rzeki dno zabijał.
Chyba tam przy Kępie tratwy zatrzymane?
Może i retmanka do brzegu już dobija?

Niech wreszcie te mgły zostaną rozwiane!
I nowa się przed miastem wyłoni wyspa,
Którą w mig utworzyły bale poszczepiane,
A na nich flisacza osada – budy i paleniska.

Jak dawniej wejdą w miasto wiślani wędrowcy,
Wpleceni w korowód odwieczną koleją losu.
Zwabią spojrzenia dziewcząt smagłolicy chłopcy,
Nim zabierze ich inna rzeka – rzeka czasu.

W końcu mgły ustąpiły, księżyc świeci wysoko.
Lecz nie widać na Wiśle ni tratwy, ni komięgi.
Na Świętojańskiej wieży zegar lśni niczym złoto,
Flisak spiżowy w Rynku strzeże swojej legendy.

Czasem tylko cienie wskrzesza Duch stęskniony
Flisu – gdy rzeka, przyborem wód nabrzmiała,
Na swoim grzbiecie niosła flisackie wagony,
A każda tratwa w podzięce Wisłę czule głaskała.

Starość Casanovy

*Tym krużgankiem,
spowitym w półcienie i mroki,
przeszedł ktoś niewidzialny
i stanął na chwilę...
Czyjeś nagle na schodach
rozległy się kroki...*

[...]

*W bladym świetle księżycy
bieleją krużganki.
Pozostanemy tu chwilę.
Na świecie czas mija...
Korowodem przechodzą
wieczory i ranki...
a tu zegar wciąż jedną
godzinę wybija.*

~ Wanda Niedziałkowska-Dobaczewska,
„Podwórze Alumnackie”

I.

Dziś marzysz jedynie o przeszłości,
Samotnie spędzasz resztki czasu.
Twe starcze ciało – jak suchy liść,
Niełatwo ci w nim rozpoznać siebie.
Jaką mieć możesz jeszcze nadzieję,
Minionych radości ledwie cień
Znajdując tylko we wspomnieniach?
Więc spisz historię swego życia,
Janie Jakubie Casanovo!
Już pora, zmierzch gęstnieje wkoło.
Tej nocy twą kochanką księżyc –
La luna, która właśnie teraz

Zagląda w okno twej sypialni
W prowincjonalnym zimnym zamku.
I w tym momencie setki mil dalej
Przegląda się w Canal Grande.
Jak ty przed laty, gdy sprawdzałeś
Pudrową bladość swego lica,
Przed potajemną nocną schadzką.
Nie! Nie odtrącaj jej swą dumą.
Odciągnij story i wpuść do środka
Srebrzystą łaskę cofnięcia czasu.
Niech choć przez chwilę
Ogrzeją cię dawne uczucia,
Wskrzeszone tu światłem księżycy,
Które jest samo nikłym echem
Słonecznych blasków przeszłego dnia.

II.

Mój drogi panie, racz zważyć laskawie –
Ja, Giacomo Casanova, wiodłem życie ciekawe.
I choć nie jestem wzorem cnót anielskich,
To bynajmniej nie za sprawą uciech cielesnych,
Z których zasłynę w świecie zazdrosnym.
Ale z powodu mych innych miłości:
Sztuki, muzyki, podróźowania,
Lektur, dyskusji i filozofowania.
Na domiar złego w swych przemyśleniach
Nie poszukiwałem drogi zbawienia
I nie zbierałem żadnych dóbr doczesnych.
Za to, wydeptywałem swe własne ścieżki
Ku Tajemnicy, którą się nie da władać,
Nie można osiąść jej, ni sprzedawać.
Tak rozmyślając o życia sensie,
O ludzkiej naturze i czymże jest szczęście,
Już antycypuję Poetki twierdzenie –
Nie ma rozpusty gorszej niż myślenie!

III.

Nie jestem twoim sędzią Jakubie.
Dość było ludzi skorych do tego.
Lecz, gdzie oni sami teraz są?
Patrzę na dokonane życie twoje
Poprzez historię ludzkiego rodu
Starszego o dwa i pół stulecia,
W których przybyło nowych szaleństw,
Okrucieństw strasznych i wielkich wojen.
Dziś nie jesteśmy dużo mądrzejsi.
Zaś lepsi wcale, niżli wy –
W tym waszym oświeconym wieku.
Dla wielu z nas, zbyt wielu,
Świat stał się lżejszy, tańszy i mniejszy.
Więc tobie, któryś tak ukochał życie
Niech dane będzie je odnaleźć
Po drugiej stronie śmierci –
W myślach twych wiernych czytelników.

Pielgrzym

*Jeżeli wyjdiesz na poznanie świata,
Z nad ksiąg dźwignąwszy
ociężałą głowę,
Pomnij, że w każdym kwiecie łąk –
masz brata,
Że w pszczoł brzęczeniu
są melodie nowe.
I to pamiętać wiernie chcesz,
w podróży,
Nim mchy nadepcesz
nieostrożną nogą,
Że nic wokół twoim snom nie służy
A byt najmniejszy idzie własną drogą.
~ Wanda Niedziałkowska-Dobaczewska,
„Nie zrywaj kwiatów...”*

W maju stary platan w ogrodzie
Znowu zapuszcza zieloną czuprynę.
W swojej wędrówce przez czas
Ciągłe kogoś spotyka.
Prawdziwych przyjaciół ma jednak niewielu.
Z kasztanowcem, co rośnie od północy,
Mają wspólne tematy –
Choćby smak ziemskich soków tej wiosny.
Lecz dwa sąsiednie modrzewie
Są jeszcze na to za młode.
A z tymi pobliskimi klonami
Wciąż tylko się kłóci o popołudniowe słońce.
O reszcie nawet nie ma co wspominać.
Na przykład człowiek – Co może zrozumieć

Z drżenia gałązek na wietrze?
Albo ptak – Czy potrafi docenić
Pewność, którą dać mogą tylko solidne korzenie?
Stary płatan na polanie
Konsekwentnie zmierza do nieba
Swoją własną drogą.

Adam Jeździkowski

Ona – poezją przepelniona...

„ Babunia moja kochana...”

- tak o niej mówi Jej wnuczka Helena.

I Pałuczanie miło ją wspominają.

Nawet ci , mali, którzy tylko baśnie Jej znają.

A gąsawscy uczniowie to nawet spektakle przygotowują

i baśnie poetki czytają,

i nad twórczością swej Patronki debatują.

Choć Jej serce z Wilna pochodzi

i między starymi zaułkami i kamienicami chodzi,

to tu, na Pałukach, króluje

i swą twórczością czaruje.

Pisała o życiu, niełatwym wcale.

Co wileński optymizm z obozem się scala.

O blednącym słońcu na niebie pisała,

gdy Kobiety z Ravensbruck wspominała.

Dziś, gdy na świecie zło zagościło,

gdy w sercach jakoś tak dziwnie się porobiło,

na baśniowej uczcie u Pani Wandy gwarno się zrobiło.

Bo tu i śmiech, zdziwienie, zachwyty, łzy i nauka

A to Czarne Licho złym okiem na nas kuka...

A to krowa czaruje i rogiem o studnię stuka..

A to Żłota Kaczka falą niesiona...

Za tym wszystkim stoi Ona

- Pani Wanda Dobaczewska !

Ona w poezji, baśniach i naszych sercach mieszka...

Natalia Hutek

Moja patronka

Pierwszy raz cię ujrzałam
Gdy w szkole zawitałam.
a... później się dowiedziałam
żeś ty miła, serdeczna i kochana
Wtedy przytulasa dostałam.
Ale nie takiego prawdziwego.
Raczej, niematerialnego.
Ale nauczyłaś mnie jednego.
Że trzeba kochać bliźniego.
Oraz jak w „Złotej studziencie”
Zła się strzeżcie.
Też się nauczycie,
gdy wasze oczęta przymrużycie.
Albo jak wasze uszko nadstawicie.

Natura

Natura słodka i wesoła.

Natura burzliwa i nieprzewidywalna

Natura niewybaczalna i okrutna.

Natura spokojna i poważna

Natura...

A dla ciebie jaka jest natura?

Wojciech Słodkowski

O Niej

Patronką mojej szkoły jesteś,
I bardzo się z tego cieszę,
Kiedy Cię na obrazie widzę,
W myśli mojej wiersze słyszę.

Twoja poezja jest jak magia,
A to naprawdę fajna kwestia,
„Kwiat paproci” to super sprawa,
Gdy czytasz jest mega zabawa.

Szkoda, że Cię nie ma z nami,
Czytałabyś ciekawe bajki,
Od Ciebie bajki to mega rzecz,
Które marzyć, myśleć uczą też.

Przyszłaś na świat w mieście Trzewie,
Potem los rzucał Cię po świecie,
Żebyś do Żnina przybyć mogła,
I naszą patronką pozostać.

Michalina Nowakowska

Moja Patronka

Droga Wando Dobaczewska,
dla nas jesteś wspomnieniem,
prawdą przekazywaną z pokolenia na pokolenie.
patronką naszej szkoły,
gdzie prawda o Tobie wciąż żyje.
Mimo, że Ciebie już nie ma,
Ty żyjesz w murach gąsawskiej szkoły.
Hołdy Ci składamy,
Imię Twe sławimy,
Pamięć o Tobie pielęgnujemy,
byś żyła wiecznie...
A pamięć o Tobie,
przechodziła z ust do ust,
z pokolenia na pokolenie,
które sławić będą Twą twórczość i dzieła.
Chodź nas już nie będzie,
Twoje imię Droga Wando,
nadal żyć będzie
i pamięć o Tobie nie zginie,
choć Tve serce na Pałukach pochowane już dawno na wieki...

SPIS TREŚCI

Prace laureatów

Kategoria wiekowa „A” POEZJA:

I miejsce – Małgorzata Osowiecka.....	4
II Miejsce – Mirosław Kowalski	7
III miejsce – Jacek Maria Hohensee	10
Wyróżnienie – Milena Gojny	13
Wyróżnienie – Weronika Stępkowska.....	16

Kategoria wiekowa „A” PROZA:

I miejsce – Anna Siecla.....	19
II miejsce – Barbara Zakrzewska	24
III miejsce – Dorota Bidzińska	27
Wyróżnienie – Cecylia Cywińska.....	29
Wyróżnienie – Bożena Kaczmarczyk-Gwóźdź	32

Kategoria wiekowa „B” POEZJA:

I miejsce – Marika Pytlarz.....	37
II miejsce – Antonina Mrowiec	40
III miejsce – Anna Błażejewska.....	43
Wyróżnienie – Diana Pyrozhenko	46

Kategoria wiekowa „B” PROZA:

I miejsce – Iwona Kutypa.....	49
II miejsce – Michał Szuba	52
III miejsce – Jakub Wiśniewski.....	57
Wyróżnienie – Julia Zygadło	60
Wyróżnienie – Ksawery Kasprzyk	64

Osoby, których prace poza konkursem wyróżnione zostały ze względu na nawiązanie do twórczości Wandy Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej.

Krzysztof Przegiętka.....	66
Adam Jeździkowski	73
Natalia Hutek	74
Wojciech Słodkowski	76
Michalina Nowakowska	77